

Lidia AMEJKO



NON IDUM

oraz INNE
OPOWIADANIA

*Każdy plecie, jak umie –
jednemu wyjdzie arras, innemu powróż*

Notatka służbowa w sprawie zajścia w Ermitażu (na brudno)

17 marca br., wieczorem, w Ermitażu, w obecności (największych, najwybitniejszych, całej wierchuszki) van Dycka, Vermeera (Wenera?) od Boscha i naszego Wyspiańskiego, ja, Gregor Senso (dopuszciliem się, dokonałem karygodnego występkę) zanieczyściłem (tragicznie, brutalnie, niewybaczalnie) van Dycka moją własną treścią żołądkową, która była, jeśli uznać to za okoliczność łagodzącą, najwyższej jakości i wytworności, gdyż Ermitaż, jak wiadomo, słynie z kuchni.

Pragnę podkreślić, że zanieczyszczając swojego przełożonego, pana van Dycka, postąpiłem (z powodów ode mnie niezależnych, na skutek nieporozumu... nie chciałem!!!) wbrew swojej woli, choć, przyznaję, zgodnie z wolą mojego ciała, z którym się jednak całkowicie nie zgadzam.

Aby to wszystko wyjaśnić, muszę teraz opisać wydarzenia, które doprowadziły do (zawstydzającej erupcji treści, niepohamowanej womitacji) zajścia w Ermitażu. A więc dziesięć dni temu, pamiętam, że to był czwartek, jak zawsze obudziło mnie radio. Właśnie myłem zęby, kiedy usłyszałem w Informacjach (gdyż radio mam również w łazience) o powodzi w stanie Puebla w Meksyku, podczas

której zginęło dwa tysiące ludzi. Nie wiem, czy się zakrztusiłem czy może z jakiegoś innego powodu zacząłem topić się we własnej łaźience. Na szczęście Informacje przeszły do pogody, a mnie udało się opanować sytuację. Następnie pojechałem do pracy, do Rembrandt Banku. Siedziałem, jak zwykle, w swoim gabinecie przy komputerze i badałem krzywą stóp redyskontowych za ostatni tydzień, kiedy odruchowo włączyłem radio – naprawdę sam nie wiem, kiedy i jak. Akurat mówili o wybuchu metanu w kopalni i o poparzonych górnikach. Normalnie nie zwróciłbym na to uwagi, w końcu bez przerwy się o tym mówi, ale... to było naprawdę straszne! Zacząłem drżeć i szlochać, a Wanda, moja asystentka, powiedziała potem, że ten obraz wydał jej się piękny i poruszający: oto bankowiec w garniturze, siedząc przy biurku, współodczuwa, jak by powiedział filozof Scheler, z nieznanymi sobie, lecz cierpiącymi górnikami! Ale kiedy zacząłem wyć, to Wanda bardzo się zdziwiła, bo o takim natężeniu współodczuwania Scheler nie wspominał. A ja wyłem i zrywałem z siebie marynarkę, a potem koszulę, i wyciągałem przed siebie ręce, patrząc, jak moja skóra gwałtownie czerwienieje, marszczy się, a potem wyrzusza w wielkie pęcherze. „Jak na kanale Discovery!” – pomyślała jakaś część mojego mózgu, ale ból zaraz zagłuszył tę myśl.

Trafiłem na pogotowie. Lekarz nie mógł się nadziwić, że coś takiego przytrafiło mi się przy komputerze.

– Gdzie pan trzyma ten komputer? W piwnicy? – zapytał, wyciągając z rany kawałek węgla.

– Wirtualna rzeczywistość? – kpił sobie. – Tylko czemu tak boli, co?

Milczałem z godnością, bo nie wiedziałem, co powiedzieć, poprosiłem tylko, żeby zostawił mi nieobandażowane palce, do pracy przy komputerze. Zaraz też poszedłem do sklepu kupić większą marynarkę.

Trochę się zdziwiłem. Zdziwiłem się, bo wszystkie były w jednej cenie.

– TO nie jest cena! – powiedziała ekspedientka. – To rok produkcji.

– Niemożliwe! 1999 to nie cena? Jest pani pewna?

– Nic na to nie poradzę, że mamy taki rok, co wygląda jak cena!

A potem westchnęła:

– Szkoda, że ja nie sprzedaję lat, bo ten rok już dawno by się skończył.

Przyszło mi do głowy, że ona coś wie, i nie myliłem się: w sklepie grało radio, żeby klientom było przyjemniej, i nagle usłyszałem ten okropny dżingiel! Odruchowo zasłoniłem się rękami, bo już-już miały się odezwać Informacje, ale ekspedientka (miała bardzo czarne włosy i żółte oczy) wyciągnęła palec i jednym dotknięciem, jak prawdziwa czarodziejka, zmieniła stację.

– Nie lubimy, kiedy gadają – powiedziała i mrugnęła do mnie znacząco żółtym okiem. – Ma być tylko muzyka!

Przeszedł mnie dreszcz. Ależ tak! Jak mogłem na to nie wpasć: TYLKO MUZYKA! TYLKO MUZYKA!

A marynarkę kupiłem tylko o numer większą, gdyż nie zakładałem już dalszych wypadków.

Poszedłem do Banku i zabrałem się do pracy nad bilansem, radio włączyłem, to prawda, ale tylko po to, żeby (nie ulec presji mediów, pokazać, kto tu jest panem, nie dać się zwariować) grało, bo jestem przyzwyczajony.

Postanowiłem nie słuchać Informacji, jak mówią o wypadkach, więc kiedy usłyszałem znajomy dżingiel, to zaraz przekręciłem gałkę. Bo człowiek jest wolny i ma wolność wyboru stacji!

Grała łagodna muzyka, a ja spokojnie robiłem bilans, kiedy rozległ się dżingiel. Ostry jak brzytwa. Aż podskoczyłem w fotelu. Najdziwniejsze jednak, że był to TEN SAM dźwięk, przed którym starałem się uciec. Więc znowu przekręciłem gałkę i zmieniłem stację. Uf, co za ulga! Jednak po chwili znów zabrzmiał TEN dżingiel! Sytuacja zrobiła się groźna, więc porzuciłem liczby i siedząc twarzą do radia, blady i skupiony, jak pilot bombowca, próbowałem uciec przed ścigającą mnie nienawistną melodyjką. Z kroplami potu na czole biegłem jak oszalały po radiowej skali, a dżingiel nie tylko deptał mi po piętach, lecz czasem podstępnie wyprzedzał mnie i... ZACZAJAŁ SIĘ w stacji, do której właśnie zmierzałem! Pomyślałem: „Wyłącz TO, Senso! Wyłącz! Jest naprawdę niebezpiecznie”. A potem: „Jeszcze tylko jedna stacja! Jeszcze tylko jedna stacja i... Koniec!” – tak bardzo przypominało mi to grę komputerową. Ale to była gra, o jakiej komputerowcy mogą tylko marzyć: mój strach był prawdziwy. No i miałem tylko jedno życie.

Tak dobiegłem do końca skali. Przyparty do muru miotalem się, jak w pułapce – ale gałka stawiała opór! Rozpocząłem bieg w drugą stronę: jedna stacja, druga, trzecia... Nagle uświadomiłem sobie, że przegrałem: teraz już WSZYSTKIE stacje opanowane były przez TEN dżingiel! Nie miałem już dokąd uciec, nie miałem gdzie się schronić. Wtedy weszła Wanda i powiedziała: „Van

Dyck na linii, pilne!”. Puściłem gałkę radioodbiornika, podniosłem słuchawkę i usłyszałem głos pana van Dycka:

– Jak pan się miewa, panie Senso?

Dżingiel z godnością wybrzmiał do końca i radio rze-
kło z nieukrywaną satysfakcją:

– Znów zatrzęsa się ziemia na Tajwanie!

– Czuje się świetnie, panie van Dyck – powiedziałem, bo tak się zawsze mówi po angielsku, chociaż moje biurko właśnie zaczęło drżeć i zobaczyłem pękającą ścianę nad oknem.

– Według wstępnych obliczeń 1999 osób znajduje się pod gruzami! – usłyszałem jeszcze, zanim kawał sufitu spadł mi na głowę i straciłem przytomność.

Uległem hospitalizacji. Na sali razem ze mną leżało ośmiu mężczyzn. Nie muszę chyba mówić, że każdy z nich miał koło siebie małe radyjko albo telewizor. Słuchali Informacji, czemu trudno się dziwić, bo w ich sytuacji dobrze było posłuchać, że ktoś ma gorzej.

Akurat mówili o wojnie na Bałkanach.

– Tłuko sie Araby! – powiedział na to mój sąsiad. – Oni sie zawsze tłuko.

Ktoś zauważył, że to wcale nie Arabowie, ale mój sąsiad wiedział swoje:

– Albańczycy to podobnie, że Arabi so! Wierzo w islam jak Arabi.

I zaczął jeść ze słoika. A w Informacjach mówili o masowych grobach: że ciała zmasakrowane, że kości połamane, że... Czulem, że mój ból staje się nie do wytrzymania. Zacząłem krzyczeć.

– Pan wyłączy ten telewizor! – powiedział ktoś. – Pan nie widzi, że jemu to przeszkadza!

– Zaraz beńdzie pogoda, chce obejrzeć pogode – uparł się mój sąsiad.

– A na chuj panu pogoda! Pan i za miesiąc nie ruszy się z tego łóżka!

– Chce wiedzieć, jaka pogoda – zaciął się sąsiad.

– Nie widzi pan, że człowiek cierpi. Trochę współczucia dla innych!

– Ja miałem gorzej, jak mnie tu przywieźli – odgryzł się sąsiad, ale to już nie miało znaczenia.

– Zmasakrowane ciała wrzucano do grobów! – powiedział telewizor, więc i ja, przez nieludzki ból wyrzucony z łóżka, zapadłem się w otchłań.

Następnego dnia dostałem izolatkę z powodu nadwrażliwości na... dźwięk. Przyszedł neurolog, stuknął we mnie młoteczką i nakłuwał igłą. Pytał, czy coś czuję. Powiedziałem, że tak, zwłaszcza jak mówią te wszystkie liczby w Informacjach: dwa tysiące zabitych, 1999 pod gruzami...

– Boli pana liczba? – zainteresował się neurolog.

– Jak mówią... to boli.

– Ale to tylko liczba! – dziwił się. – Liczby zostały stworzone specjalnie po to, żeby nie bolało!

– Jak mówią...

I wtedy on się zdenerwował:

– Mówią! Mówią! Mówi się 1999 albo sześć milionów, żeby nie myśleć, nie widzieć, żeby szybciej przeszło przez gardło. Liczby są jak mur, za którym INNI płaczą i leje się cudza krew!

A potem się uspokoił i powtórzył ze słodyczą:

– Liczby są po to, żeby NAS nie bolało, panie Senso.

– Mnie boli... – zacząłem i nagle moje ciało rozplakało się. Bo ja przecież nigdy nie płacę.

– Dlaczego to wszystko mi się przytrafia? – spytałem szlochając. – Dlaczego akurat mnie? Jestem kierownikiem działu analiz polskiej filii Rembrandt Banku...

– Nie wiem – powiedział lekarz.

Wtedy coś sobie przypomniałem:

– Może to taki rok! Jak cena...

– Cena, powiada pan? – lekarz zamyślił się na chwilę. – Być może. Widzi pan, w dzisiejszych czasach często się zdarza, że dusza... chyba powinienem powiedzieć: psychika, ale skoro jesteśmy tutaj sami! – rozejrzał się niespokojnie, sprawdził nawet za drzwiami i pod łóżkiem. – Więc ta... dusza, niewłaściwie pielęgnowana i narażona na nieustanną walkę z trującym otoczeniem, jak wątroba alkoholika, ulega całkowitej marskości.

– Jak to... marskości? – nie mogłem zrozumieć.

– Sztynnieje! Traci zdolność amortyzowania świata, do której została stworzona, a potem powoli obumiera.

– I co?

– Nic. Czasem jeszcze trochę uwiera w niektórych sytuacjach, ale najczęściej, jako zupełnie zbyteczna, zostaje... wydalona.

– Dusza?! Wydalona? – byłem wstrząśnięty.

– Tak. I to w sposób niezauważalny. Jak mały szary kamyczek. Można potem żyć bez duszy całymi latami! Chyba że... – lekarz przyjrzał mi się i uśmiechnął z zadowoleniem – ciało stanie się duszą! A ciała już tak łatwo zignorować się nie da, prawda, panie Senso? I trudno o nim zapomnieć, zwłaszcza jak... boli.

– Jak boli, to trudno – zgodziłem się.

– Pańskie ciało wzięło na swoje barki nie byle jaką misję! Misję uładzenia się z tym, co dla duszy okazało się

zabójcze! Pan się przystosowuje, panie Senso! — lekarz promieniał. — Teraz pan tego nie rozumie, teraz wszystko wydaje się panu bolesne i bezsensowne, ale... proszę pomyśleć: Wybrano pana! Właśnie pana! I bierze pan udział w procesie.

— Ja... Jakim procesie?! — to brzmiało groźnie.

— Wciąż takim samym... Od miliardów lat. A jeśli pan przeżyje... — aż zatarł ręce na tę myśl — będzie pan organizmem doskonalszym od innych!

Chciałem się dowiedzieć, czy mógłbym jednak odnaleźć moją duszę i sprawić, żeby wróciła na swoje miejsce, ale lekarz tylko przepisał mi zatyczki do uszu, a potem mruczając: „Jaki piękny proces!” — wyszedł z pokoju.

Opuściłem szpital na własne żądanie, bo miał przyjechać pan van Dyck, a analizy nie były jeszcze skończone. A potem była ta kolacja w Ermitażu i to (nikczemne, haniebne, obrzydliwe) zajście, którego sprawcą było moje ciało, chwilowo pełniące obowiązki duszy.

Na pewno zbadał pan okoliczności zajścia i wysłuchał wszystkich obecnych, mam jednak nadzieję, że moja wersja wypadków wyjaśni moją całkowitą bezbronność wobec ciała (tj. duszy), które to ciało (a właściwie: dusza) zaczęło cechować się przesadną wrażliwością i moralnym skrupulanctwem, a nawet, wstyd powiedzieć, jakimś etycznym fundamentalizmem.

Po blinach z kawiozem a'la Ajwazowski, sakiewkach impresjonistów z pstrągiem, dekorowanych migotliwym ogniem, i zabawnym prosięciu a'la Picasso (ryjek odnaleźliśmy w... nieważne!), podano truskawki z bitą śmietaną, którym na szczęście patronował jakiś malarz reali-

styczny. Wtedy właśnie panu van Dyckowi zebrало się na wspomnienia wojenne, a wszyscy z ogromną radością i zainteresowaniem chłonęli opowieść przełożonego.

— Mój Boże! — powiedział pan van Dyck. — Ja przecież byłem w Sarajewie w czasie największego oblężenia, mamy tam filię naszego Banku. Każdego dnia widziałem na ulicy trupy dorosłych i dzieci!

Tu pan van Dyck srebrną łyżeczką nabrał wielką czerwoną truskawkę z czapeczką bitej śmietany na szczycie.

— Pamiętam raz, jak na moich oczach mała dziewczynka wybiegła na ulicę, a trzeba państwu wiedzieć, że dla dzieci siedzenie w schronie to była prawdziwa udręka: brak słońca, ruchu, no i ten głód! — pan van Dyck włożył sobie truskawkę do ust. — Więc ta dziewczynka uciekła ze schronu czy piwnicy i biegła — taka radosna i szczęśliwa! I nagle jakiś snajper strzelił do niej, tak po prostu! Dziewczynka upadła, a z ust ciekła jej strużka krwi. Widziałem to wszystko z okna banku. To była straszna, straszna wojna!

Pan van Dyck musiał źle ocenić wielkość truskawki, bo i jemu zaczął cieknąć z ust czerwony sok. Nagle poczułem, że wszystko we mnie kurczy się i bulgocze, więc szybko próbowałem wepchnąć sobie do gardła serwetkę, ale to nie pomogło. Ciało burzyło się przeciwko panu van Dyckowi, który tak opowiadał o tej dziewczynce i... jadł truskawki. Ja wiem, wiem — wszyscyśmy jedli! Nie chcę zwałć winy na pana van Dycka! On tylko opowiadał! Opowiadał, co widział. Zdawał relację. Przecież to nie on zabił tę dziewczynkę, on tylko stał i patrzył. To przecież nic złego — stać i patrzeć. I jakoś jego słowa nikomu innemu nie zaszkodziły, tylko mnie. Ale sam pan teraz rozumie: to nie byłem ja! To

jakaś straszliwa i tajemnicza siła wyrzuciła ze mnie cały ten wytworny posiłek o jednolitej temperaturze 36,6 stopnia Celsjusza wprost na pana van Dycka.

Tego wieczora wróciłem do domu, położyłem się do łóżka i bardzo chciałem umrzeć. Moje ciało po raz pierwszy zgodziło się ze mną: najpierw dostałem dreszczy z zimna, a potem przyjemny ogień zaczął topić mnie od środka.

Leżałem tak nie wiem jak długo, ale wcale mi się nie nudziło, bo przychodzili do mnie różni ludzie w odwiedziny – niewykluczone, że zapomniałem zamknąć drzwi.

Najpierw przyszedł pan Pereira, z Meksyku, tam gdzie była powódź, która o mało mnie nie utopiła.

– Ja w tej sprawie – powiedział. – To straszna tragedia, zresztą SAM pan najlepiej o tym wie! – tu zrobił do mnie oko. – Ale stała się rzecz jeszcze gorsza! Na całym świecie mówią, że u nas, to znaczy w całym Puebla, zginęło dwa tysiące ludzi!

– Tak podawali w Informacjach – przyznałem.

– Kłamstwo! – zaperzył się pan Pereira. – Naprawdę zginęło tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć osób!

– Może chodziło o rok?

– Niech pan nie żartuje, panie Senso! – fuknął na mnie Pereira. – Conchita, powiedz panu, ile osób zginęło u nas w Puebla. – jak się okazało, pan Pereira przyszedł do mnie z żoną.

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć – załkała drobna czarnowłosa kobieta.

– Teraz sam pan widzi, jaka straszna pomyłka pojawiła się w informacjach całego świata!

– Jeden człowiek mniej czy więcej, jaka to różnica – wysnęło mi się, a Pereira strasznie się zdenerwował:

– Jak pan może tak mówić! A gdyby to pan był tym jednym człowiekiem więcej!

– No tak! Tak! – chciałem go udobruchać. – Ale na szczęście tu było o jednego topielca mniej!

– Na szczęście? – krzyknął pan Pereira. – Pan nazywa to szczęściem? Señor Senso! To JA jestem tym jednym topielcem mniej!

– To znaczy, że pan jednak żyje, panie Pereira! To wspaniale! – ucieszyłem się.

– Ale jak ja mogę żyć – tu pan Pereira zaczął szlochac – kiedy w oczach całego świata utonąłem, jestem martwy, nie ma mnie!

– To przecież nieważne, co myślą inni, jeśli...

– Nieważne?! – przerwał mi. – Niech pan pomyśli o mojej żonie! Ona już wcale nie jest moją żoną! Ona jest samotną kobietą bez męża, skoro utonąłem, jak powiedzieli ci gringos z CNN! A czy biedny chłop ze stanu Puebla może dyskutować z najpotężniejszym kanałem informacyjnym na świecie? Jak oni mówią: „Gonzalo, ty nie żyjesz!” – to ja im wierzę i już nie żyję!

Wie pan, jak strasznie wygląda teraz moje życie? Ukrywam się, jak zbieg, przed oczami ludzi z mojej wioski, a kto mnie zobaczy, zaraz krzyczy: „Duch! Duch!”. Nawet moje własne dzieci uciekają przede mną! A Conchita? Czy ona może być jeszcze wierna mężowi, o którym wszyscy mówią, że utonął? Ten wściekły pies, Rodolfo Diaz, przychodzi pod jej okno każdej nocy i woła: „Conchita! Ajajaj! Jesteś moja! Twój Gonzalo utonął!”.

I pan Pereira nagle wyszedł, a na jego miejsce zjawił się Murzyn z dzidą.

– Nasz czarownik, Wombatta, mówił, że ty nas w cie-
le swoim nosisz, bo zamieszkał w tobie Duch Świata! –
powiedział Murzyn. – Wombatta wie, bo w nim samym
też kiedyś taki duch zamieszkał i Wombatta dzień i noc,
dzień i noc, i jeszcze jeden dzień z bólu wył, i byłby
Wombatta umarł od tego, ale szczęśliwie postem z kro-
wiego łajna Ducha przepędził.

– Z krowiego łajna? – zapytałem z nadzieją.

– Wombatta powiedział, że teraz ty nas WSZYST-
KICH nosisz w sobie. Nas... i tych szakali z plemienia Tu-
tu również!

– Jeśli dotknęły ich jakieś nieszczęścia – zgodziłem
się.

Wtedy Murzyn się zdenerwował:

– Ich nieszczęścia są naszym szczęściem, ich śmierć
to więcej życia dla nas! Ich rozpacz jest naszą radością, a
twoje cierpienie z powodu tych ściervojadów to obraza
dla nas! Nie chcemy dzielić z nimi TWOJEGO bólu! To
oni pierwsi wojnę zaczęli... po tym, jakeśmy im upro-
wadzili stada. Nie chcemy być w twoim cielesie obok nich!
Albo my – albo oni! Wybieraj! A jeśli ich z siebie nie wy-
rzucisz – Murzyn postukał groźnie włócznią – to cza-
rownik Womabatta siłą nas wyjmie z twojego ciała! Albo
tę część tobie odetnie, w której my przebywamy, choćbyś
nas miał w głowie, w nogach albo w dupie! Byle dalej od
tych sępów Tutu.

Murzyn awanturował się jeszcze przez chwilę, lecz
potem wyszedł, chociaż nie wiem jak, i wtedy przyszedł
pan Szymon. To mnie nawet trochę zdziwiło, bo pan
Szymon umarł, kiedy byłem mały.

– Pan... do mnie? – spytałem.

– Mnie się rozchodzi o tych sześciu milionów – powiedział pan Szymon.

– Pan miał konto w naszym banku? Sześć milionów? Ale czego?

– Nie czego, a kogo! Mnie się rozchodzi o tych sześciu milionów Żydów, co zostali zamordowani przez Hitlera. Bo co to znaczy, że ich było sześć milionów? Równo sześć? A może mniej? A może więcej? A jak więcej – to ile więcej? Jeden więcej? A może tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć więcej? I co? I o nich się nie wspomina! Bo przy sześciu milionach – co to jest tysiąc dziewięćset... no, liczymy: dwa tysiące! Co to jest dwa tysiące? To tylko jedno małe miasto! Ale ja się pytam: czy można zapomnieć całe zamordowane miasto? Mój ojciec, który był kupiec materiałowy, zawsze mi mówił: „Szymche, żebyś ty nigdy nie wierzył w okrągłe liczby! Okrągłe liczby zawsze kłamia!”. Więc ty mi powiedz, Gregor, co ja mam zrobić z tymi sześciu milionów?

– No wie pan, sześć milionów – tak się tylko mówi!

– Się mówi?! – pan Szymon był wyraźnie wstrząśnięty. – Się mówi?! Ale ony są jak mur, jak ściana, przez który nas NIE WIDAC! Nie widać naszych twarzy, oczów, nosów, nie widać naszych łez, nie słysząc naszych krzyków! Się mówi! Żeby nas zamknąć jak w getcie! Bo to jest liczba-getto! I my się z niego nigdy nie wydostaniemy!

– Panie Szymonie! Jest mi oczywiście niezmiernie przykro, ale... ta sprawa mnie nie dotyczy!

– Panu nie dotyczy sześciu milionów zamordowanych ludzi?!

– To znaczy, proszę mnie zrozumieć: oczywiście bardzo mnie to boli, w pewnym sensie... Ale to było ponad pół

wieku temu, a ja... a dokładniej: moje cierpienie, nie obejmuje tej kwoty... tzn. tych sześciu milionów, o których był pan uprzejmy wspomnieć!

— Panu nie obejmuje? — zasępił się pan Szymon. — Więc komu? Komu jeszcze obejmuje?

I zniknął.

Obudziło mnie stukanie do drzwi, to był kolega Wyspiański, kierownik działu kredytów.

— Wyobraź sobie, Senso — powiedział — że nasz bank został wczoraj oficjalnie przejęty przez... Boscha! Tak, tak! Zupełnie niespodziewanie! I pewnie ucieszy cię wiadomość, że zwolniono van Dycka!!! Udowodniono mu poważne malwersacje! Dopuszczał się ich jeszcze w Sarajewie. A swoją drogą, ty to masz oko! Nic się przed tobą nie ukryje! To przecież ty pierwszy się na nim poznałeś! I wyraziłeś swoją opinię... tak bezkompromisowo, na kolacji w Ermitażu. Na miejscu van Dycka jest teraz pan Vermeer (Werner?), to doprawdy przemiły człowiek! On uważa ciebie za bardzo dobrego fachowca. Na zebraniu powiedział nam, że ta twoja... wrażliwość na zło bardzo się przyda w Banku. Powiedział: „Same liczby to nie wszystko! Trzeba mieć jeszcze instynkt moralny! Bierzcie przykład z Herr Zenzo!”. I zapowiedział już dwa dodatkowe szkolenia: „Etyka motorem giełdy” i „Papiery wartościowe a wartości moralne”.

Tak więc wróciłem do Banku i pomimo Pańskiego zaufania co do mojej osoby, Panie Dyrektorze Vermeer (Werner?), postanowiłem napisać to wyjaśnienie. Już z całą pewnością nic mi nie dolega: ciało, że tak powiem, wróciło na swoje miejsce. Poszedłem do lekarza, a on powiedział mi, że skoro nie umarłem, to najwyraźniej przysto-

sowałem się i teraz mogę sobie spokojnie słuchać Informacji. Jak wszyscy.

Dziś, zaraz po przyjściu do pracy, włączyłem sobie radio: przyznaję, trząsałem się i drżałem, kiedy rozległ się dzingiel zwiastujący Informacje, potem jednak spokojnie wysłuchałem wiadomości o ludziach spalonych żywcem w wielkim wieżowcu w Tokio.

I co?

I nic.

Zupełnie nic.

Nawet mi się nie zrobiło gorąco.

Nondum

Mój pan to bardzo lubi, jak przy nim dzień i noc coś ino furczy, pipeczy, gędzi, bździ – rozmaitości wokół siebie ponaustawiał, że przystąpić się nie da: tu mu dobosze drewniane w bębny biją, tam znowu brzękadła klangorzą, bucą bureczybasy, pociuchraje swarzą, a do tego jeszcze kukułki z zegarów co rusz wyskakują i dzwonią! A jak już mu się cały ten szurbajzel w najlepsze roztruca – wtedy dopiero mój pan spokojnie sobie zasypia, jak dziecko. I śpi tak dzień lub dwa, a czasem będzie i miesiąc, albo rok – aż cisza nie nastanie!

Raz, pamiętam, podłogę sobie pod łóżkiem szoruję, a tu nagle – TRAACH! Cichość taka nastąpiła, że umarłego by obudził! I wtedy mój pan jak nie ryknie:

– Emiiiiilia!? Co tu tak cicho jak w grobie? Mówiłem, że ma być głośno! GŁOŚNO!!!

„Patrzcie go, jak ożył! Ledwie-że-co trochę spokoju było!” – tak sobie tylko pomyślałam, a on się znowu drzy:

– Zrób głośniej, Emilio! Głośniej! Przecież chyba jeszcze nie umarłem, co? Prawda, że jeszcze nie? Jeszcze nie! Nondum!

– A pewno, że całkiem to pan jeszcze nie umarł! –

mówię do niego. — I po co się tak drzyć? I tak już wytrzymać nie można od tego skwirku!

A on nagle sobie przypomniał:

— Orkiestra — pyta — Emilio? Gdzie orkiestra? Nie słyszę orkiestry! — bo mój pan orkiestrę trzymał, co mu do snu przygrywała.

Ja mu na to, że umarła. Calutka. Od starości. Dopiero co, jak na Święty Jan Klarneta my pochowali, bo już całkiem był do niczego.

Wtedy pan mój w ryk:

— Maestro Crocatti nie żyje?! O mój Ty Boże! A wiolonczelista, pan Bogaczek?

— Z nim to my mieli — mówię — żeby pan wiedział! Wpierw to nikt nawet nie zauważył, że on... tego... ten... Bo jak na tej swojej basetli się oparł, brodę w nią wbił, palce na niej rozcapierzył, to myśleli my, że gra! Aż Waltornia, co najbliżej niego siedział, zaczął krzyczeć, że... śmierdzi. Co to było! A w dodatku tak się pan Bogaczek cały zastał w kościach, że my jego odegiąć nie mogli, no i z wiolonczelą trzeba go było pochować. W futerale. Pan Bogaczek był chudzinka taki, że bez kłopotu się w nim pomieścił, a jak ładnie przy tym wyglądał: taki bledziuchny, na zielonym filcu.

Mnie tam orkiestry nie żal. Ona tylko z początku więcej z życiem ucięła, jeszcze jak młoda była. Wtedy, jak co uprzedli, to takie było krzepkie jak powróż — aż mnie czasem ręce piekły od tej muzyki! Ale z wiekiem coraz wolniej grali i luźniej, a na koniec to już się całkiem takie rozwolnienie zrobiło — roztroczyło się wszystko, rozplotło, każdy w swoją stronę nic osobną ciągnął, siebie słuchał, do siebie gadał... I zawsze jakoś tak smutno. Mnie to się zdaje, że ona chyba z żalu umarła.

– A może by tak nową orkiestrę zatrudnić, co, Emilio?
– rozwiemógł się mój pan.

Na to ja mu odpowiadam, że nic z tego, bo ludzie w okolicy boją się u niego pracować.

– Boją? A czegoż oni się boją? – pyta zadziwiony, bo mój pan to nigdy nic nie wie.

– Ano... mówię mu – jakoś do tej pory u nas nie bywało, żeby kto, kresu swojego doszedłszy, ciałem nie umarł.

Chłopy, żeby nie wiem jakie mocne były, a baby rumiane, każdego jeden na koniec klapsa łopata dostal i do dołu!

– Bo porządny człowiek – mówię – to, choćby był głuchy jak pień, zawsze głos Pana swojego Zbawiciela usłyszy i za nim podąży, kiedy pora... Ja tam panu nie wymawiam, ale... mało to już razy było, kiedy myślał sobie człowiek: „Ach, zasnął na wieki mój pan, biedaczyna – patrzcie tylko: trup z niego jak żywy”. Ale pan zawsze na koniec to swoje „nondum!”, „nondum!” krzyczał i... nic! Ludzie pytają, czy to aby nie jaka choroba? A kto wie, może to i zaraza, że nawet kostucha pańskie drzwi omija!

Ależ się rozferdaczył pan mój:

– Co Emilia tak oczami świdrzy! Emilia myśli, że mnie tak dobrze? Ileż to ja lat już tak czekam i czekam... na koniec! I co ja mogę poradzić, że nie przychodzi?

– Mnie się zdaje, że wszystko przez to szurgotanie. Kiedyś, nie powiem, nawet pan lubił, żeby coś ładnego zagrało, weźmy figurał jakiś! I żeby on początek miał i koniec, jak się należy. Ale teraz: wystarczy, że się coś tylko ferta po pokoju, może być i bąk. A z orkiestrą to niby jak było: byle głośisto, co? Ale czy ona gra czy pierdzi to już

panu wszystko jedno! Ja panu powiem, panie Nondum: nie godzi się tak huczno umierać!

– Głupoty Emilia gada! – zafurczał kęsawo, ale zaraz potem zapytał: – Co znaczy... huczno umierać?

– A to znaczy – mówię – że dostępu nie ma! Jak człowiek powołanie ma na tamten świat, to najprzód ciszej się jakoś wokół niego robi. Ludzie, swoi czy obcy, na głos boją się mówić i żeby, Boże broń, nie krzyknąć, nie zaśmiać się... Na palcach zaczynają chodzić, w dzwonek pakuł napychają, kołatkę szmatami obwiązują i tylko szeptem... szeptem... Na koniec już tylko samymi oczami gadają. Panu też by się przydało trochę ciszy wokół siebie urobić, dobrze się nią oprząść – po co się tak cisy boić?

A ten szpeciąg durnowaty znowu się drzy, że ciszy to on nie wytrzyma, że wszystko, byle nie cisza, że „jeszcze nie!”, że „nondum” – i tak bez końca.

Więc ja mu ładnie opowiadam, jak to przyjemnie jest w cichości sobie usiąść, pomilczeć od stóp do głów, i posłuchać, jakie się tam snują opowieści, bo hałas to przecież nie jest cały świat, a tylko połowa – tak jak dziury są połową durszlaka... A ten, durny, pyta, o jakim ja durszlaku opowiadam! Więc dalej mu tłumaczę, że każdy dźwięk ma swoją ciszę, a każde wypowiedziane słowo ma swoje słowo niewypowiedziane, i każda opowieść ma jeszcze taką drugą, co się składa ze słów niewypowiedzianych i ciszy – tego mu trzeba słuchać! Bo hałas tylko świat na kawałki drze – każdy kawałek hałaśliwy jak przekupka z targu, do siebie woła, swoje nad inne wynosi i zachwala, aż dziw, że świat, wizgami co dzień rozdzierany, ciągle na nowo zrasta się i trwa.

– A wie pan, czemu? – pytam. – Bo świat w ciszy nogami swoimi stoi! A ciszy żadna dziurawość już się nie chwyta!

Rozpląkał się mój pan, że tak mu powiedziałam, ale bardziej ze strachu.

– Bo wiesz, Emilio – mówi do mnie – bywa, że się budzę w nocy, a tu: ciemność dookoła! Nic nie widzę! Wzrok natężam, żeby choć smuga jaśniejsza od okna, od drzwi, ale darmo... Wiesz, w oku to ja pewności nie mam, bo... może ono nie otwarte, co?

– Może być, że oko nie otwarte! – mówię.

– A wtedy ja dalej w ciele swoim szukam czegoś, czego mógłbym się uchwycić, ale... Wiesz, ja i ciała nie czuję! Jakby go nie było! Więc rzucam się w pamięć, jak w otchłań... lecz pamięć pusta niby studnia bez dna! I wtedy... wtedy... nie wiem doprawdy, Emilio: czy jestem żyw jeszcze czy może trup? Bo niby skąd człowiek to wie, że umarł?

– Mówią, że jak już nic nie słyszy. Że niby ucho na ostatek umiera.

– Ano widzisz! – uradował się mój pan. – Sama widzisz, że w uchu moja jedyna nadzieja! Bo jak mi pan Bogaczek nagle na wiolonczeli zaskrzekota, a maestro Croscatti na swoim klarncie zagłuka – to ja wiem na pewno, że żyję! A im gorzej oni, partoly moje, grają, tym większą ja mam pewność, że jeszcze tu, na ziemi, jestem! Bo gdzieżby oni w niebie tak fałszowali! Teraz rozumiesz, Emilio? W tej szpetocie, co mi ucho rani – cała moja nadzieja! Że nie umarłem! Że „jeszcze nie”! Nondum! W fałszywym i niedokończonym dźwięku więcej jest czasem życia niż w jakiejś doskonałości! A jak

mnie całego wypełni ten jękot zgrzytliwy, i łkanie, i gulgot — to mi się zdaje, że samo życie tak we mnie dudli! Dlatego słucham, wszystkiego: jak dzień zdaje relację z nocy, a noc ledwie się rozsiądzie, a już paplocze o przebyłym dniu; jak szumią planety ręką Boską nakręcone; jak pęka kora drzew... Może być i twoje gadanie, Emilio... byle nie cisza! A kiedy się tak zasłucham, to mi się zdaje, jakbym tu leżał od samiutkiego początku, a nawet... jeszcze wcześniej! Jakbym był chaosem zamienionym w słuch. Chaosem czekającym na słowo, które ma się w nim odbić, uchem, co jak wir rozkwita ku ustom, które rzekły... rzekły...

— Rzekły, że rozum panu kurdawieje! — mówię mu.

— A śmierć to trzeba szybko przełknąć, tak raz-dwa, a nie w gębie ją trzymać i jeszcze, nie daj Bóg, delektować, bo wtedy, jak w gardle stanie, to ani wte, ani nazad, a najlepiej to oczy zamknąć i na drugą stronę się przekinąć. Bo pan to się tylko chęłba, raz w tę, raz w drugą stronę, między jednym i drugim zawieszony, ani pan żyje, ani pan umarł — nigdzie pana nie ma. A człowiek to chyba nie powinien być tam, gdzie go nie ma!

— A może już jest za późno? — pyta on.

— Za późno? Niby że na co?

— Żeby umrzeć. Tak jak przemija czas życia, tak mnie być może czas śmierci przeminął? Ile to już lat ja tu leżę?

— Oooo! Kto by to zliczył! Moja matka nieboszczka u pana robiła, i jej matka nieboszczka, i nieboszczki jej matki matka... też nieboszczka.

— Ach, widzisz, widzisz, Emilio! Sami nieboszczycy wokół mnie, tylko ja jeden... jeszcze nie.

— Nigdy nie jest za późno, żeby umrzeć! — mówię mu.

– Tylko że teraz to już naprawdę będzie się pan musiał dobrze postarać, bo ja... odchodzę.

Zaniemówił mój pan. A potem jęknął cichucho:

– Ty też?

Aż śmiech mnie wziął:

– A jeszcze czego? Ja tam umierać nie mam zamiaru, żeby pan sobie nie myślał. Ja tylko mówię, że na tę resztówkę życia, co mi została, to ja planuję wyjechać. Pan Waltornia dostał domek w spadku, po ciotce, i my się z panem Waltornią żenić razem będziemy!

O jak zaczął krzyczeć pan mój! Że niby co się z nim teraz stanie i że ja go tak zostawić nie mogę, bo kto mu będzie brzękotki nakręcał.

– Mógł pan nad tym umieraniem tyle nie ślęczyć! – mówię mu. – Jak jeszcze pieniądze były, to nie jeden koło pana porobił, pacierz odmówił, zapłakał serdecznie! Ale pan ciągle dulczył z tym wszystkim, że „jeszcze nie!” i „nondum!”, no to teraz... A tych lajfirolów i tak już nakręcać nie potrzeba, bo...

Tu cisza nagle wyszła, jak z nosa glut, co ślągwi się do pasa, i nie wiadomo, co z nim robić. Przestraszył się mój pan, a ja do niego twardo mówię:

– Obstałowałim tu takiego jednego, z bardzo pierwszorzędnego zakładu! On już będzie wiedział, co z panem zrobić.

– Kogo? – wyrzęził Nondum.

– Jakiś... oktopus? Nie! Chyba... finisoktopus. O, już wiem: finiscoronatopus! O, tu jest kwit, i wszystko napisane: „Usługa: wykończenie ozdobne z fermaturą”. Nie wiem dokładnie, co to znaczy, ale mówią, że nic nie boli. Ja tam pieniędzy nie żałowałam, co ich pan miał schowanych pod podłogą!

Zgawroniał mój pan, usta otworzył, zachrapotał i takim już został, więc tylko drwała, co siekierką macha, nakręciłam mu, z litości, i poszłam.

Mówią, że pan mój, Nondum, wciąż się tam melepeta, między życiem i śmiercią niedokonany. Oktopus nic nie wskórał, więc tylko mu radio zostawił włączone, co gra bez ustanku. Gówienny jego los we wrzasku się nurzać, to niech i tam zostanie, na wieki wieków. Amen.

Wodomówca

Ja, Serapion Duszochwał, siedemdziesiąty swój rok po obcych ludziach przeżywam, w lecie krowy pasam, zimą młóczę w stodole cepem.

We wsi naszejrodzony, w miasteczku na odpuście dwa razem był – świat mój, pod nogami, niewielki. Za to na niebie on ogromny!

Kiedy wiatr chmury pędzi przed burzą, kraje mi się dalekie przedstawiają: a to Afryka jak barania czaszka, a to Ameryka Dolna kiścią winogron wisząca. Widzę pustynie ogromne wiatrem w skibki równo poorane, po których karawany jadą. I rzeki świetliste, a na nich statki pełne ludzi: Indusów, co na bosaka żyją jak nasz pustelnik z Jaworowej Górki, Murzynów z wełnistymi głowami, maluszkich Chińczyków. Płyńcie to wszystko i płynię, nie wiadomo gdzie, po co? I tylko ja jeden w miejscu jednym stoję i paradę światów niebieskich odbieram.

Aż tu raz, w niebo zapatrzony, głos jakiś usłyszałem, a w głosie tym upomnienie było i żal, kiedy zza chmur do mnie wołał:

– Serapionie! Serapionie! Tobie mówić trzeba!!! W myślach żyjesz i na patrzaniu czas ci upływa, to nic dobrego, wierz mi. Człowiekowi gadanie przyrodzone i tym

się on właśnie od zwierzęcia różni, że gada! Bo gadanie od duszy się wywodzi, gdyż jedno i drugie z tej samej materii zrobione, Serapionie — z powietrza! Ani duszy, ani gadania oko ludzkie jeszcze nie widziało i tylko, jak kto umiera i dusza jemu przez usta umyka, to lubi się ona we słowa jakieś przyodziać, jakby się bała, taka nagusienieczka, między ludzi iść.

— A pamiętasz ty, Serapionie — woła — co stary Modręga powiedział na ostatek?

— A diabli go wiedzą, co on tam powiedział — mruknąłem, a Głos strasznie się zdenerwował, bo mi nad głową zagrzmiało.

— Być może, być może! Ale i my tu, Na Wysokościach, też... hm... niejedno wiemy! — Głos chrząknął urażony i jeszcze raz zawołał: — Serapionie! Serapionie! Tobie mówić trzeba! Więc mów, do jasnej... — tu błyskawicą mnie oślepił.

— Stary Modręga w ostatnim tchnieniu wyznał, że te pieniądze, co za pięciometrowego buhaja dostał, to mu w gospodzie Ojecki ukradł.

— A widzisz, Serapionie! Tak ci mówić trzeba! Tylko że... — Głos dziwnie pomarkotniał — to akurat wiemy, kto pijanemu Modrędze pieniądze z kieszeni wyjął. Nam — Głos zaszeptał — idzie o buhaja.

— Znaczy: co buhaj powiedział w ostatnim słowie?

— Nie, nie, Serapionie! Rzecz w tym, że my nie wiemy, ILE stary Modręga za tego buhaja wziął!

— To pewnie Modręgowa wie, bo przy niej się układali.

— No to dowiedz ty się, Serapionku, ile tego było, bo u nas — Głos westchnął — papierek jakiś się zagubił, a przed Wniebowstąpieniem koniecznie kartoteki na czys-

to wyprowadzić trzeba. A za każdym razem, kiedy po wodę przyjdiesz, nachyl się tylko do studni i powiedz, co tam się dowiedziałeś po wsi! I pamiętaj, mój drogi, że kto mówi, niewinny jest, bo przed nikim tajemnic nie chowa i nie ma nic do ukrycia, a sumienie jego czyste jak woda ze studni. Posłuchaj, jak pluszcze, jak dudni, jak echem życzliwym każdemu odpowie, co tam kto sobie zażyczy. Tak samo tobie mówić trzeba, Serapionie Duszochwacie, pamiętaj... Acha! Byłbym zapomniał! A nie mów ty, mój kochany, nikomu, cośmy tu sobie ustalili, bo to, wiesz, zaraz gadać zaczną ludziska, że nieporządki Na Wysokościach...

Pogrzmiało jeszcze, pogrzmiało, jakby się głązy wielkie po dnie strumienia toczyły, i Głosu tego nigdy już więcej nie usłyszał.

I tak, ja, Serapion Duszochwat, co siedemdziesiąty swój rok po obcych ludziach przeżywam, wodomówcą zostałem, w studni słowa topiącym. Na wieczór, po zachodzie, idę z wiadrami, do studni się nachylam i gadam. Co słoweczko upuszczę — onoż zaraz w dół leci, o cembrowiny się obija, pojęczy trochę, zapiszczy i rozkołatane w wodę spada.

I wtedy cisza.

Jakby go nigdy nie było.

Co?

Kto?

Nikt tego nie wie.

A że po wsi niewiele posłyszeć mi się udało, bo roboty w polu nastały i do gadania nikt nie skory, to o moich chmurzastych dziwach studni powiadałem, a ona głosu mojego słuchała, czasem godzinę, czasem dwie, a raz by-

ło, że nocą ciemną do chałupy wróciłem. O wszystkim ze studnią gadałem, tajemnicy żadnej nie chowając. Wszystkom w studnię uronił! A to o głowie wielkiej na pół nieba, co słońce połknęła, a to o mieście Nowy Jork, gdzie domy jak góry, a ulice wąziutkimi strumyczkami w głębokich wąwozach płyną, a Matka Boska Nowojorska w potoku takim nogi swoje chłodzi.

O ludziach ze wsi też gadałem, bom ich często na niebie oglądał, a najwięcej... to o Modręgowej, jak po niebie szła, a wiatr jej wielgaśne cycki rozwiewał.

I stało się na koniec, że woda już dłużej zamilczeć nie mogła!!!

– Cud! Cud we wsi! – wieść się niosła od chałupy do chałupy.

– Woda gadać zaczęła! Czy na kuchni w czajniku grzejąca się, czy w duchówce w saganku – zaraz szeptać, syczeć, kwilić, duldać i pimpolić zaczyna! A z jaką wylewnością się wylewa! A z jaką złością się to-to wygaduje! Czy do garnuszka lejesz czy do miski – zaraz cuda takie opowiada, że dzieciaków wcale do mycia gonić nie trzeba!

– A baby to teraz całkiem na telewizję nie patrzą, tylko wody słuchają!

No i proszę! Takie to są Na Wysokościach porządki! Opowieści moich na czas nie wybrali, to teraz cud ogłosić muszą. Widać, że jak w niebie czegoś nie dopatrzą, to się od tego cuda na ziemi robią.

A do studni co dzień kolejka się ustawia, ludzie w kaniki, wiadra wodę biorą. Jak odpust we wsi zrobili, to Modręgowej syn wodę ze studni w butelkach zakręcanych po wódce sprzedawał.

Słysząc jednak, że ona coraz to i słabiej gada. Ucieka z
niej gadanie jak ze mnie dusza.
Mówią, że z tego samego zrobione.

Uriel

Jestem...

Nie! Zręczniejszy byłoby powiedzieć: nazywam się!

Tak: „nazywam się” brzmi lepiej! I... niezobowiązująco.

Nazywam się... Kiedyś, dawno temu, w Portugalii, wołali na mnie „Gabriel”. Gabriel Da Costa. Ale jak kto powie „Acosta” – też nie będzie błędu. A potem zmieniłem imię i... stałem się Urielem.

Więc może jednak: „jestem”?

Ależ tak! Jak mogłem o tym nie pomyśleć: „jestem” brzmi tak dostojnie, i głębiej przenika w istotę rzeczy. A poza tym ma w sobie coś boskiego. Bo czy Bóg powiedziałby o sobie: „nazywam się”? „Dzień dobry, Mojżeszu, nazywam się Pan Bóg”. Nigdy! „Jestem, który jestem”.

A więc jestem! Jestem...

No cóż, prawdę powiedziawszy, jako Portugalczyk byłem chrześcijaninem – choć najpierw, po rodzicach, byłem Żydem, a potem dopiero Portugalczykiem – wszelako, jako Portugalczyk, SIŁĄ rzeczy zostałem chrześcijaninem, nie przestając być żydem, przez co okrzyknięto mnie marranem, czyli świnia, więc ostatecznie, jako marran, czyli świnia, wolałem raczej zostać Holendrem, ponieważ tylko jako Holender mogłem być żydem.

Poza tym byłem jeszcze filozofem i handlarzem, skru-
szonym buntownikiem i heretykiem znieważającym wła-
sne słowa...

A może jednak: „nazywam się”?

Och, nie, nie! Bo co to za rzecz – IMIĘ! Jakie ono ma
znaczenie? Ty dobrze o tym wiedziałeś, Panie! Dlatego
nam zostawiłeś imiona, a sobie... Jakże ja Ci ryb zazdro-
szczę! Tak, ryb najbardziej! I muszli, z wnętrzem jak zo-
rza! I motyli! I chmur! Bo tak między nami mówiąc: jakie
to żenujące zajęcie – nadawać imiona! Jakby kto przy-
wiązywał blaszankę do kociego ogona. Ten dźwięk, przed
którym biedne stworzenie nigdzie nie może uciec...

Ostatecznie... mógłbym jeszcze raz rozważyć owo
„jestem”, ale...

Pamiętam, szedłem kiedyś po Kalverstraat i jakiś czło-
wiek krzyknął za mną po portugalsku: „Papa-formigas,
papa-formigas!”. „Ojciec mrówek”. Bo niby prawda o
mnie, jak mrówki, rozłazi się we wszystkie strony.

Nikt już nie dojdzie, kim jestem ani jak się nazywam.

O Panie! Gdyby jedno przywierało do drugiego równie
ciasno i żarliwie jak łydki Fransiny do moich pośladek –
nie musiałbym błędzić tak straszliwie w poszukiwaniu
prawdy o sobie! Ja i moje imię! Na zawsze razem: imię,
wierne jak pies, podążałoby za mną wszędzie, krok w
krok, by potem, w dniu śmierci, położyć się na moim gro-
bie i czekać w milczeniu na własne odejście.

Moje imię i ja! Za obietnicę zawartą w imieniu JA stał-
bym się jego jedynym znaczeniem! Zawsze razem, nie-
rozdzIELni i jakby STWORZENI dla siebie! Zawsze nieo-
mylnie odnajdujący się nawzajem niczym soczysty krza-
czek Fransiny i mój...

A właściwie... co z tego, że się rozłązi!

Im kto większy, tym więcej rozmaitej prawdy musi w sobie pomieścić – każdy z nas jest po trosze wszystkim na tym świecie! No, może z wyjątkiem naszego rabinia Jacoba Sasportasa – prawda o rabinie Sasportasie zmieściłaby się na czubku włosa z łona jego świątobliwej żony!

A jeśli się rozłązi, to znak, że trzeba by znaleźć coś solidnego i trwałego, czym dałoby się przyszpilić taką miślność jak istnienie.

Pewnej wietrznej nocy przyszło mi do głowy, że dusza musi być rodzajem żelaznego pręta, na który nadziewa się ochłapy losu, niczym kawałki rozmaitych mięs, aby je później wędzić „w dymie dni naszych”, jak powiedział Psalmista. Napisałem traktat o materialnej i śmiertelnej duszy, takiej jak moja... laska z toledańskiej stali – dźwięcząca towarzyszka ciała, rytmiczna podpora słów i ostoja myśli, obrona przed nicością i złodziejami – która, nieulekniona, odejdzie ze mną na ostatnią wędrówkę w głąb ziemi, zamiast szlajać się nie wiadomo gdzie, w oczekiwaniu na Dzień Sądu!

„Ty żelazną różgą będziesz nimi rządzić, Panie!” – mówi Pismo.

Za to mnie oskarżono, skazano i wyklęto.

Za to „przeklęty niechaj będzie w dzień, i przeklęty w nocy, przeklęty, gdy wstaje i przeklęty, gdy się kładzie, przeklęty, gdy wychodzi z domu, i przeklęty, gdy doń wchodzi! I nikomu nie wolno zbliżać się do niego na mniej niż cztery łokcie”.

Pod koniec życia nie byłem już ani żydem, ani chrześcijaninem, Portugalczykiem czy Holendrem, nie buntowałem się i nie prowadziłem interesów, samotność stała

się ciężarem trudnym do udźwignięcia, a za jedyną podporę służyła mi moja duszyczka. Nie obraż się, Panie, ale używałem jej wyłącznie jako laski podczas długich spacerów po Amsterdamie. Jednak około roku 1640 zmodyfikowałem teorię Duszy-Jako-Żelaznego-Pręta. Łydki Fransiny podskakiwały już na tyłku sędziego Houbrakena, a mnie kwietniowe powietrze kompletnie zamąciło w głowie. Zaczęło mi się zdawać, że dusza jest maleńką Ołowianą Kulką. Najpierw długo trzymałem ją w ręku, podziwiając jej kulistą doskonałość i niewinność, potem zaś, nie wahając się zbytnio, umieściłem ją w miejscu, które, jak wierzyłem, jest jej stałą siedzibą – w sercu.

I to miał być koniec mojej historii. Tak to sobie przecież wymyśliłem: żadnej nieśmiertelności, żadnego szwendania się po zaświatach! Raz tylko żyjemy i nikt z nas nie przedłuży się w wieczność wiedziony Twoim pasterskim kijem, Panie! Tak to sobie zaplanowałem! I tak miało być! A jeśli Ty wszystko wiesz, to musisz wiedzieć i to, że mam rację! Wyszło na moje: dusza JEST materialna, tak jak mówiłem! Choć przyznaję: czasem trochę za twarda i mało się zużywa! A w materialności swojej zbyt długowieczna i trwała – przynajmniej w porównaniu z ciałem! No cóż, myślałem, że razem z nim rozpadnie się w proch, a tymczasem... Proszę, jak łśni! Ani śladu rdzy – od razu widać, że ze szlachetnego materiału zrobiona. W końcu czymże innym dałoby się przyszpilić całą miałość, z jakiej się składam? A poza tym – jest poręczna. I przydatna w życiu. Po trzystu siedemdziesięciu latach mogę chyba coś o tym powiedzieć. Zobacz, ciągle w dobrym stanie – jeśli właściwie się z nią obchodzą.

O Panie, żebyś Ty wiedział, gdzie ja nie byłem!

Pierwej kupił mnie za bezcen sędzia Houbraken, razem z dziurkowanym kaftanem i pludrami wypchanymi włosiem, ale że się Fransina zbyt pieścizotliwie ze mną obchodziła w sypialni, z zemsty ofiarował mnie kucharzowi okrętowemu, Franciszkowi Coron, do grzebania w węglach, jednakże ów Coron, szlachetność mojej substancji doceniwszy, zabrał mnie był ze sobą do pałacu, kiedy został gubernatorem Batawii, a stamtąd już ukradł mnie doktor van Riebeeck i uwiózł na Decimę, sztuczną wyspę w porcie Nagasaki, dla trzymania Holendrów specjalnie utworzoną, gdzie się ze mną nie rozstawał ani w dzień, ani w nocy, przez co wielce mu byłem pomocny, gdy nocą uciekał z pałacu japońskiego cesarza, którego z dyzenterii nie zdołał uleczyć, za co doktor ów z wdzięczności zabrał mnie do Afryki — tam w gładkości mojej i twardości rozkochał się wódz Zulusów, zaś jego prawnuk, Keczwajo, tak długo nurzał mnie w krwi angielskiej, aż sam końca zażył w bitwie pod Ulungi, wtedy to kawalerzysta John Garshow, jako trofeum, wysłał mnie do Ameryki, gdzie grałem w filmach, potem zaś urodę moją i twardość mając na względzie, wzięto mnie do polityki: tak, Panie, to ja, stojąc przed Rooseveltem, wypowiedziałem wojnę Japończykom — byłem podówczas stojakiem na mikrofon.

Teraz jestem własnością Gumajki. Nie, nie! Ja się nie skarzę! Gumajka wcale nie jest taka zła! Ma litościwe serce, a że czasem trochę wypije... Sam pomagam jej coś znaleźć — w ostateczności może być dykta, smrodliwa nalewka w kolorze fiołków. Raz nawet rozbiłem witrynę sklepową. Tak, przyznaję się, Wysoki Sądzie, zrobiłem to dla niej! Trzy tygodnie spędziłem potem w policyjnym

depozycie, już prawie straciłem nadzieję, że ujrzę kiedyś światło dnia! Ale ja się nie skarżę, mogło być gorzej! Słyszałem, że dusza tego Bento, Barucha czy, jak kto woli, Benedykta Spinozy, dostała się na koniec, razem z całym inwentarzem, jego gospodyni, a ta nieuczona kobieta, niczego nieświadoma, używała jej przez wiele lat jako... szprycy do robienia lewatywy!

A Gumajka nie jest niczemu winna — to wszystko przez ten śmietnik, Panie!

Przez śmietnik bez początku i końca, góry i dołu, ważnego i nieważnego, gdzie chwile dodają się jak ziarenka piasku w klepsydrze, wiatr wszystko miesza, a fragmenty z najodleglejszych zakątków nieustannie zamieniają się miejscami, jakby chciały choć przez chwilę zakosztować bytu, który nie został im dany: ból zęba staje się zepsutą okiennicą, stukającą na wietrze, samotność — kamieniem w gardle, dusza — żelaznym drągiem, a zmęczenie... Zmęczenie jest w istocie ulicą Parkową, na wysokości Bulwaru Olimpijskiego, kiedy wracamy tamtędy każdego wieczora. Gumajka brodzi co dnia w śmietniku po kolana, mozolnie przymierza do siebie wzajem krawędzie zdarzeń, lecz one, obojętne i obce w jej rękach, tylko prześlizgują się po sobie i nie dają zadzierzgnąć.

A czasem coś takiego się z nią robi... sam nie wiem, jak to powiedzieć. Bije mną na oślep, że nawet szczury się jej boją! I co ona wtedy wykrzykuje! Jezu Chryste! Że wynikanie soboty z piątku nie jest aż tyle warte, żeby na nim oprzeć całe życie! Że jej potrzeba jakiegoś Ostatecznego Wiązania, czegoś naprawdę solidnego, czego mogłaby się chwycić! Czegoś nieśmiertelnego jak...

Gumajka

Iiiiiijaaaaahoooo!

Z drogi śmierdzizadki!

Z drogi szczury i gołębie!

Zamykamy bufet dla wron i karaluchów!

Teraz ja się będę tutaj gościć – będę jadła, będę piła, będę się wesośliła! Iiiiiijaaaaaaaahoooooo!

Ale... czemu my tacy okrutni, nie wiesz ty przypadkiem, Urielu? Na żyznym śmietniku każdy się pożywi, i miejsca starczy dla każdego. No to posuńcie się tylko, ścierwojady, i zasiądźmy do stołu razem – w zgodzie i miłości!

A ty mi pomóż, Amsterdamski Drucie! Zajrzyj szybko do kubła, zobacz, co my tam dzisiaj mamy?

Mów, co widzisz, kochaniutki! Syto jest? Coś taki milkliwy? Skorośmy już zostali przenicowani na lewą stronę rzeczywistości – cieszymy się ze skarbów, które zsyła nam strona prawa! O, weźmy ten kawałek: czy nie jest piękny? Szczególnie, jeśli spojrzeć nań: o tak! Nie! Raczej z drugiej strony... Albo pod światło... Ech, nie ważne, Urielu, ten fragment, chwała Bogu, nie musi już być żadną tandetną sosjerką ani wazonem, zbuntował się przeciw własnym krawędziom, umknął kształtowi, wyr-

wał się CAŁOŚCI – choć widzę, że nieźle przy tym oberwał! Za to teraz, na szczęście, nie ma już żadnych zobowiązań... Tylko fragmenty są naprawdę wolne, Urielu, bo są do niczego – i do niczego nie służą.

Ejże, popatrz, jaki z niego wykwinął kapelusz! Ponoś go trochę na głowie, żeby mu zrobić przyjemność. Każdy śmietnik jest pomnikiem wolności – tylko tutaj każdy może być tym, czym chce! Ty również, Dzido Starozakonna, nie zaprzeczaj! Sam to przecież wszystko wymyśliłeś, co nie? O Boże!!! A jeśli on wcale nie chciał być kapeluszem? Tylko... statkiem kosmicznym? Lepiej zostawmy tutaj naszego małego buntownika, niech go raczej znajdzie jakieś dziecko, chociaż, powiem ci, że już-już chciałam go sobie schować do torby.

A to co takiego?! Patrzaj no, Urielu, jak się to-to szepiło miłośnie jedno z drugim i ani myśli puścić! Wygląda jak idea równości przerośnięta pierzem i kocim gównem... Gdzie indziej pewnie by w ogóle na siebie nie spojrzeli – jak ty i ja – ale tutaj, to co innego! Popatrz tylko, jak się oni w sobie rozsmakowali! Zaprawdę, powiadam ci, Urielu, że w tym kubie pod zamkniętą pokrywą straszne panuje wyuzdanie i zuchwałość w przenośniach – wystarczy, że przez tydzień śmieci nie wywożą, a już się rzeczy sednem wymieniają, sensem rajfurzą – ferment, aż w nosie kręci! Rzeczywistość zażywa tu wolności, jakiej nawet Ty, Panie Nasz, Stwórco Jedyny, nie miałeś w czasie sześciu dni stworzenia... I dzięki Ci za to!

A ty się nie tłucz tak, Urielu, bo nas znowu mieszkańcy przegonią!

I coś tam znów takiego wynalazł? Uuuuuuuuuuu... Widziałeś kiedy co piękniejszego? Całkiem nowiutki i wy-

starany w szczegółach: zobacz, Urielu, jakie ma paznokcie, włosy, rzęsy – eleganckie wykończenie, nie ma co! Aż dziw, że nikt go nie potrzebował. I jaki spokojny – śpi sobie smaczno, nieżywiątko. Coś tak ucichł, Urielu? Przestań się trząść – on już się nie obudzi, więc do roboty, jamę trzeba mu zaraz w ziemi wydłubać, zanim się szczurzyńska dowiedzą. A z ciebie jest szpadel grabarski pierwsza klasa! Tobie zaś, okruszku, imię damy, bo ci się ono należy, jak psu zupa. I nie byle tam jakie, ale mocne, lite, bo na co komu życie, choćby i najlepsze, kiedy mu nazwy brakuje? A wiesz ty, że jak się dobrze w imię utrafi, to i z samego jego brzmienia taką nić barwną żywota można wysnuć, że ho, ho! Już wiem! Będziesz się nazywał: Kazimierz.

Kaz-i-mierz? Ka-zimie-rz? Ech, nieboraku! Nie na ciebie ta kapota! Za duża, za zimna, i jakoś tak zgrzyta pod zębami...

Może... WALDZIO?

Tak, Wal-dzio! Waaal-dziii-oooo! W strugach deszczu, w małym okienku zamykanym na haczyk, twoja twarz mięknie i rozmywa się, zupełnie jak twoje imię. Kiedy przesuwasz palec po wilgotnej szybie, palec woła do ciebie: „dziiiiiooooo”. Coś mi się zdaje, że nigdy nie nauczyłeś się chodzić, w każdym razie nie tak jak inne dzieci. Zostałeś pisarzem, głównie, zdaje się, bajki o zwierzętach. „Odnowił gatunek” – mówili o tobie. Najlepsze były te o rybach i wodnych ssakach. I jeszcze, że „wyobraźnia bezbrzeżna” ktoś napisał, co właściwie brzmi śmiesznie, bo ty przecież całe życie tylko tyle, co w tym okienku...

Skończyłeś, Urielu? No to jeszcze kamieniem przywalić trzeba, niech odpoczywa w spokoju. A i nam odpo-

czynek się należy, bośmy spracowani i jeść się chce. Ty koło mnie, panie Gabrielu, o tu! Patrzcie no, ludziska, jaki mi się kawaler trafił na stare lata! Lecz, Bóg mi świadkiem, że twarszego bym nie znalazła!

Zjesz coś, kochaniutki? Nie? A to i ja nie będę, bo po co? Je człowiek, je, a w środku i tak pusto. Jakby kto całutką duszę ze mnie wydryłował. Kiedyś tak nie było, o nie! Kiedyś byłam taka pełna, jeszcze jak Rudolf żył. Ledwie się do mnie zbliżył, a zaraz mnie wzdymało jak gumowy balon... Chodziłam wtedy taka ostrożna, radosna, a Rudolf się tylko śmiał. „Żeby cię wiatr nie porwał” – mówił i owoce mi z targu przynosił, trochę tylko nadpsute. Ale potem, kiedy przychodziła moja pora, to coś jakby westchnienie ze mnie uchodziło – takie cichutkie i słabe, że ledwie imię mogło ze sobą unieść. I tyle!

Imię – dobra rzecz. I potrzebna, dla pamięci, więc mi się z tego został na koniec pęczek imion do niańczenia, a każde, mojego oddechu uczepione, wyżywić się chce! No to gadam – bo co umarli mają z tego życia oprócz mojego gadania?

Tak sobie myślę, Urielu, że samotność to musi być coś twardego i kanciastego, jak kawałek szkła albo kamień. Pamiętam ten dzień, kiedy cię zobaczyłam pierwszy raz – taki piękny słoneczny dzień, nigdy go nie zapomnę – Rudolf wtenczas jak raz u Świętego Józefa skonał! Raka dostał. Mój Boże, to była jedyna rzecz, jaką w życiu dostał, a ja budzę się i czuję, że kamień mam w gardle. Myślę sobie: skąd on się tam wziął, czy w jedzeniu był czy co? Ale zaraz coś mi mówi, tam w środku: „przecież to od Rudolfa ten kamień!” Więc poszłam zaraz tego dnia na wysypisko, żeby chociaż na buty do

trumny nzbierać, a może i garnitur jaki by się trafił? Chodzę tak i chodzę, bo śmieci świeżutkie nawieźli, jeszcze domem pachnące, i widzę, ile się tam duszyczek poniewiera, połamanych, pękniętych, porzuconych – prawdziwy czyściec, myślę sobie. I że też nikt już dzisiaj tego nie chce, choćby na pamiątkę, albo dzieciom pokazać? Aż tu patrzę i widzę: patyk jakiś leży czy drąg. Leży sobie i wygląda wcale szlachetnie! Żadnej rdzy, solidny, a gładki, że aż lśni! Ja od razu wiedziałam, że ty, Urielu, z odległych czasów i stron do nas przywędrowałeś, bo takich dusz jak twoja teraz już nie robią – teraz to tylko jednorazówki, a w Ameryce, to tylko papierowe, że niby środowiska nie psują i re... rec... rezurekcja prostsza. Noo, to jakim ciebie zobaczyła, Urielu, takiego opuszczonego na obcych śmieciach – od razu wiedziałam, że będzie z nas para!

Ty jesteś wielce uczoną laską, Urielu, więc jak ci się zdaje: czy śmieci zostaną zbawione? Bo taki tu bałagan, wszystko leży na kupie. Ale jakby się kto taki znalazł, co by oddzielił światło od ciemności, papier od metalu, a metal od szkła... kolorowego, ooooooooooooo! Wtedy od razu byłby porządek w odkupieniu!

A wiesz, jak jesteś taki mądry, to poszukaj mi czegoś do picia, bo... zimno. Tylko się pospiesz, kochaneczku, bo już mną zaczyna trząść – straszny nadciąga chłód, a ty, jak tylko zechcesz, to zawsze potrafisz coś wyszperać... W ostateczności może być dykta.

Ruszaj się żwawo! Szukaj, bo czas się kończy, bo już zupełnie przetrawiony został w pamięć, przez ludzkie ręce przesiany, wleczę się teraz w ognie ostatniej komety jako bezkresny śmietnik...

Mówiłeś coś, lasko Arona? Czy ja dobrze słyszę? O tak, znam ten dźwięk! Lubię, kiedy tak do mnie mówisz, podporo mojej starości!

Proszę! Butelczyna jak się patrzy! Nieduża, owszem, ale za to ciężka! Popatrz no, Urielu, ona tam coś ma w środku – pewnie okręt. To dobrze – okręt lubi pływać!

Ależ dziwacznie zamknięta i tak mocno, że odbić nie da rady. Chodź tu, Holenderski Pogrzebaczu, szyjkę małpeczce przetrącimy, łepkę ukręcimy i wyrzucimy... Czekaj! To przecież wcale nie okręt! To... świat! A pośrodku góra – na niej różgami żęty wisi na krzyżu, a pod nim dwaj ludzie stoją, tacy maleńcy... Jeden włócznię trzyma w ręku, całkiem do ciebie podobną, Urielu, i patrzy na mnie, jakby na coś czekał. Jezu Chryste, z jaką on patrzy złością! Mruga do mnie i krzyczy! Nie da rady, Urielu, trzeba zaraz butlę rozpić, bo się wścieknie, malutki. A tak się zaburdiuczył, jeszcze chwila, a szkło rozsadziiiiiiiiiiiiiiiiiiii oooooooooo!

To koniec... Urielu...

Tylko się mnie mocno chwyć, żeby nas wiatr nie rozdzielił! Skąd on się tu wziął, czemu tak wieje? Gdzie ty jesteś? Nic nie widzę, bo ciemność, i ciało chłodem mi wzbiera, ale mnie nie zostawiaj – jak wiatr ucichnie, pójdziemy dalej, ty i ja, bez ciebie rady nie dam, duszo moja, żeby tylko ten wiatr już przestał... żeby przestał tak wiaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa...

Longinus

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Co za piekielny wiatr, Stefatonie!

Od kiedy tu stoimy, a będzie tego... sam już nie wiem, nigdy jeszcze takiego wiatru nie było. Żeby nam tylko czego złego nie nawiał!

Przez ten wiatr, Stefatonie, trudno prawdę pochwytać, tak straszliwie rozproszyły się wszędzie przyczyny i skutki! O, ten tam, na Górze, z nich trzech najwyższy, mówią, że cuda robił w wolne soboty, ale czy to teraz pewne?

A do gęby tyle piachu mi nawiało, że chociem jeszcze nie umarł, już mi się zdaje, że ziemię gryzę! Tfu!

A zresztą: skąd mam wiedzieć, że nie umarłem? I czy jutro albo, dajmy na to, za trzy dni nie wstanę, żywy i cały? Czas, poszarpany tym przeklętym wiatrem, jest jak popruta pajęczyna – niczego już nie może złapać w swoją sieć. Żyjemy w przyczynowo-skutkowej diasporze, Stefatonie! Resztki naszego życia rozłają się po cudzych biografiach – przeznaczenie, które bez słowa opuściło cię przed laty, nagle do ciebie wraca, jak gdyby nigdy nic, z obcym spojrzeniem w oku, skruszone chorobami, i skomli, żebyś je przyjął z powrotem!

Koniec zupełnie pomieszał się z początkiem: kobiety rodzą teraz własnych przodków! Zdarzenia dawno pogrzebane i oplakane jak widma wstają ze swoich grobów i krążą... krążą... To przez ten wiatr tak krążą, mówię ci, Stefatonie! Wszystko rozwłózione, jak baranie jelita po rzeźnickim podwórku! Nie dałbym głowy, czy i sprawa tego tam, Co-Najwyżej-Wisi, nie zaczyna się i nie kończy w dowolnym miejscu i czasie, zawsze i wszędzie, i na wieki wieków, aaaaaaa... A prawda, Stefatonie, nie będzie nam mogła wystawić na koniec swojego świadectwa, ponieważ prawda, Stefatonie, jest we Wszechświecie miejscem nieskończenie małym i niepodzielnym! Jak ziarenko piasku. Dlatego trudno ją będzie znaleźć! Chociaż...

Pamiętam, jak tydzień temu na Placu Mistycznej Jedności spotkałem tego malarza, Lulisa. Do ziemi nachelony podnosił był właśnie znaną pomarańczową ciągutkę. „Musiało jakieś dziecko...” – mamrotał nieprzytomnie. Ciągutka owa, przyszyta potem do płótna, stała się zarzewiem płomiennoczerwonego obrazu, a Lulisi chodzi teraz dumny jak paw i chwali się przed wszystkimi jakąś prawdą, która rzekomo tkwi w jego dziele!

Też coś! A cóż to za prawda, co na ulicy leży jak psie gówno, i tylko uważać na nią trzeba, żeby się do butów nie przykleiła? Ja o takiej mówię, co była na początku, zanim się to wszystko z hukiem nie rozpekło, rozprysło, rozwiało, zanim nie zaczęło uciekać samo przed sobą. Ja o prawdzie pięknodobrej mówię, nadobnej i miłosiernej, co się zmieści w źrenicy oka! O takiej, którą byś jedną ręką ucapił i czapką nakrył! Ale kto ją znajdzie? Porozłaziło się wszystko jak mrówki, a każda inny kawałek prawdy niesie

w swoją stronę. Kto by to teraz do kupy umiał zgarnąć, sam nie wiem.

Podśledzałem przedwczoraj na targu rybnym, jak Najwyższy tłumaczył swoim ludziom, żeby się nie martwili, bo on tu niedługo wróci, a razem z nim CAŁY Wszechświat powróci do swego początku. Znowu zostaniemy zamknięci w nieskończenie małej prawdzie punktowej, małej jak ziarenko piasku. Skutki przestaną szwendać się samopas w poszukiwaniu swoich przyczyn, bo wszystko będzie w jednym miejscu, pod ręką. I żadnych wątpliwości, tylko: „TAK! – TAK! NIE! – NIE!”.

Najwyższy mówił jeszcze, że teraz najprzedniejszy z szatanów, co go nazywają Fabricator Fragmentorum, zszedł między ludzi i kusi ich, żeby sięgnęli po część, a ta niechybnie nasyci ich całością. Że pełnię prawdy z ułamka będą mogli wywieść, a byle jaki śmieć, odpadek, resztką nadgniła czy ogryzek, frazes przytulny – wszystko, Stefatonie, może się dzisiaj przydać! Wystarczy tylko dobrze nadmuchać...

Ale ja wiem, Stefatonie, to nie żaden Fragmentorum ani szatan, tylko... moja ciotka! Moja ciotka Alma Wieherstahl!

Nie mówiłem ci o niej? Ta zacna kobieta żyła z rozdrabniania dziedzictwa Wieherstahlów na kwadraty i trójkąty. Wielkimi nożycami cięła suknie babek i mundury dziadków, cholewy i rękawice, czapki i czepek, sakwojaże i safianowe okładki książek, a kiedy już wszystko, co zostawili nam nasi przodkowie, zredukowane zostało do dwóch nie najbardziej w końcu wyszukanych figur geometrycznych, ciotka zszywała ich krawędzie według sobie tylko wiadomego klucza i sprzedawała w renomowanych gale-

riach sztuki. Trzeba ci wiedzieć, Stefatonie, że zawsze znajdowali się chętni na szlachetny materiał, nawet tak dziwacznie przerobiony.

Kiedy na koniec cała tradycja – z braku lepszego określenia nazwę ją „miękką” – została już przez ciotkę zgilotynowana, Alma niepostrzeżenie, lecz wcale zręcznie, zaczęła włączać do swoich kompozycji resztki stołowej zastawy, wyłysiała szczoteczki do zębów, cynowe misy i staromodne kałamarze. Nie uwierzysz, Stefatonie, jak bardzo ceny jej makat poszły wtedy w górę! „Ze względu na ogromny realizm” – jak mi wyjaśnił pewien krytyk sztuki. Pamiętam, jak raz zastałem moją ciotkę zajętą komponowaniem trójkątno-kwadratowej wersji „Bitwy pod Grunwaldem”: wszystkie detale, łącznie z bronią, końską uprzężą i brodami rycerzy, wydawały się najzupełniej autentyczne! Szczególnie po tej stronie obrazu, po której niegdyś walczyli Wieherstahlowie. Pośrodku zostało jeszcze puste miejsce na konie, ale autorka nie chciała zdradzić, jak zamierza rozwiązać ten problem. Dopiero z prasy dowiedziałem się przypadkiem, że „znana artystka, Alma Wieherstahl, pochłonięta preparowaniem końskich zwłok, nasyciła okolicę tak potwornym smrodem, że zrozpaczeni sąsiedzi musieli wystarać się o policyjny zakaz realizmu w jej twórczości”. Realizm to najbardziej cuchnący ze wszystkich stylów! I trzeba ci jeszcze wiedzieć, Stefatonie, że ciotka na koniec... również... sama... Nie wiem, jak to powiedzieć. Ona własnoręcznie pozbawiła się naturalnych konturów! Nożyczkami. Kawałek po kawałku! Całkowicie i bezkompromisowo... „Biedny van Gogh!” – mawiała zawsze. „Jedno ucho to było stanowczo za mało!” – i rozplynęła się we własnym dziele. Teraz jest wszędzie i wszystkim, rozpościera się aż

po widnokrąg, widzę nawet, jak zza chmur prześwitują jej fastrygi. Ona też, Stefatonie, szukała prawdy, ale to nie było żadne tam ziarenko piasku, o nie! To była prawda, co się ją samemu z mozołem zszywa dzień po dniu własnymi rękami. Prawda jak pełnia, co każdy fałsz potrafi sobą ogarnąć, prawda, by tak rzec... PŁASKA! Tak, Stefatonie, PŁASKA – jakby zredukowana do dwóch wymiarów, lecz w istocie swojej nieskończona ARCYMAKATA!

To jest prawdziwa prawda! A nie jakaś... tfu! Punktowa! Oj! Żeby z tego tylko jakiego nieszczęścia nie było: jak mi raz do kondoma ziarenko piasku zalazło, przez tydzień dotknąć się nie mogłem!

A teraz, jak Najwyższy wróci, to znowu wszystko będzie w jednym... Jakby nam mało jeszcze było tego stania w JEDNEJ butelce przez tyle lat!

Powiem ci, Stefatonie, że ja się już drugi raz tak uwięzić nie pozwolę, w żadnej prawdzie, żeby nie wiem jaka była... Nie dam sobie wędzidla z prawdy założyć, bo to jest jak paraliż albo sama śmierć! A temu tam, co najwyżej wisi, też już wrócić nie dam... Jakem to robił przez tysiące lat w butli zamknięty – tak teraz, i zawsze, i na wieki wieków...

Podaj mi włócznię, Stefatonie. Przygwoźdź go tak, że już nigdy nie wróci! Gdzie moja włócznia? Dawaj ją szybko!

Pospiesz się, Stefatonie, żeby nie było za późno!

Szybciej! Szybciej!

Dawaj włócznię! Bo ja się już w żadnej prawdzie zamknąć nie pozwolę!

W prawdzie maleńkiej jak ziarenko piasku uwięzić się nie dam, Stefatonie!

Nie dam!

Nie daaaaaaaaam!

Gumajka i Uriel

– Nie dam! Nie dam ci go, złodzieju! No, puszczaj, mówię! Na pomoc! Na pomoc! Uch! Mocna była ta nalewka! I dobrze odstana. Wiesz, Urielu, miałam sen, że mi ciebie ukraść chcieli. Tacy dwaj... skinheadzi! Urielu? Gdzie ty jesteś? Gdzie się podziałeś, duszeńku mój! Nigdzie cię nie ma! O! Tu się zapodziałeś... Chwała Bogu, znowu jesteśmy razem. Chwyć mnie mocno za rękę, bo ktoś tu idzie. Ooooooooo! Popatrz tylko na niego: wariat z teatru! Harmonijkę z papieru ma na szyi i dmuchane gacie.

– Witam cię, Gumajko! A to nie żadne dmuchane gacie, tylko pludry wypchane włosiem, ostatni krzyk mody w moich czasach. Tylko harmonijka... tzn. kreza, w istocie nie najwygodniejsza...

– W imię Ojca... Czy to naprawdę ty, Urielu? Toś mi piękny pan, a jak szumnie ubrany! Ja... Ja wiedziałam, że ty kiedyś wrócisz, ale żeby taki elegancki – tego nie wiedziałam... A po coś ty właściwie przyszedł tutaj taki wystrojony?

– Czas się skończył, Gumajko – teraz każdy musi odnaleźć to, czego mu brakuje, co zgubił albo wyrzucił przez nieuwagę...

– No, to się teraz zrobi tłok na wysypisku! Ale może w końcu porządek będzie na świecie: każda rzecz wróci na swoje miejsce, wszystko będzie takie pożyteczne i nie popsute... Tylko że jak już całkiem nie będzie śmieci, to... co stanie się ze mną, Urielu? A Rudolf? Rudolf nie będzie miał gdzie wrócić. On tu był zawsze. Od urodzenia. Na śmieciach go znaleźli, w pudełku od butów. Nie będzie miejsca dla Rudolfa na tym świecie! A ja, głupia, myślałam, że chociaż po śmierci będzie jakaś sprawiedliwość!

– Uspokój się, moja droga! Niewykluczone, że istnieje jakiś niebiański śmietnik, a wtedy ty i ten twój Rudolf... Ja muszę już iść, wezmę tylko ze sobą tę moją... Popatrz na nią, jeszcze całkiem, całkiem... Toledańska stal!

– A ty, dokąd, Urielu?

– Jak to, dokąd? Do Amsterdamu! Napiszę refutację własnego traktatu o śmiertelnej duszy i... Wiesz co? Odwołam wszystko! Tak! A potem napiszę nowe dzieło, będzie nosiło tytuł: „Dusza ludzka i jej substancjalna długowieczność”. Zastanawiam się jeszcze, czy w nowej sytuacji nie powinienem również zmienić imienia?

– Chcesz mnie zostawić, Urielu? Tak długo byliśmy razem... No, powiedz, kochaniutki, czy nam było ze sobą źle? Sam się będziesz teraz błąkać po ulicach tego swojego Am... Am... I kto tam będzie do ciebie gadał dzień i noc. A jeśli o to chodzi, o dyktę, to ja już ani kropli więcej, przysięgam!

– Nie chodzi o dyktę, Gumajko! Tylko wiesz... coś takiego mogło się zdarzyć wyłącznie na śmietniku! Nasz związek, by tak rzec... on był... ontologicznie niepoprawny!

– Jak... Jak niepoprawny? On był bardzo poprawny!
Ja sobie mówiłam, ty słuchałeś.

– Ale ty byłaś związana z moją duszą! Duszą, która miała postać stalowej laski...

– Mnie to wcale nie przeszkadzało! Rudolf też nie był przystojny!

– A pomieszanie czasów? Nie zapominaj, że ja jestem z siedemnastego wieku!

– To chyba znaczy, jestem od ciebie młodsza o parę lat, co nie?

– O trzysta sześćdziesiąt.

– No widzisz! Żona powinna być młodsza od męża...

– Żona?!!!

– No, dobrze już, dobrze! Ja bym i tak wcale za ciebie nie wyszła, żebyś nie wiem jak mnie o to prosił! I wcale nie z powodu laski ani różnicy wieków, tylko dlatego, że ty jesteś... smutny. A co do imienia, to w rzeczy samej powinienes sobie teraz sprawić całkiem nowe. Może... Rudolf? Ech, co ja, głupia, gadam, jaki Rudolf, ty przecież wcale nie wyglądasz na Rudolfa! A imię to musi być prawdziwe.

– Prawdziwe? Nie chcesz chyba powiedzieć, że ja mam jakieś... prawdziwe imię!

– No pewnie, że masz! Każdy ma. Takie jedno, jedyne, co na nim Boskie technienie, dźwiękiem jak ostrzem w duszyczkę przykrojone, wnika w ludzkie ciało i tam sadowi się wygodnie, a potem niesie człowieka przez życie jak mocny okręt, a nie byle łódeczka, którą pierwsza burza roztrzaska. I jeszcze takie, co nie składa fałszywych obietnic, a jak je dobrze wypowiedzieć, to całe życie można w nim wysłyszeć! Ty chyba nie myślisz, że na mnie zawsze

wołali Gumajka? Też coś! To było dobre tam, na śmieciach, ale teraz to co innego! Naprawdę to ja mam na imię... Chyba... Może... Hm... Regina? Ech, masz tu swoją duszyczkę, Urielu da Costa, oprzy się na niej wygodnie, jak dawniej, a ja się ciebie chwycę popod rączkę i pójdziemy razem do tego twojego Am... Am... Sterdamu... Tak, Regina! Re-gi-na! Re-gin-ka-ka-ka-ka! Słyszysz, Urielu, jak stuka?

– Słyszę, słyszę! Znowu razem, jak niegdyś!

– To stukają moje cieniutkie obcasiki! Mogłam być kelnerką. Szef zawsze mówił, że obcasy są niezgodne z regulaminem, ale co tam! Najważniejsze, że nogi są wtedy dłuższe. Re-gin-gin-gin-gin... Słyszysz? To ciche „gin-gin”, jak uderzenia metalowych pałeczek? Może właśnie zaczęłam robić sweter na drutach? O, bo ja nawet w domu nie odpoczywam ani sekundy! Wieczorem przychodzi do mnie narzeczony i wtedy moje imię zaczyna wrzeć! Rrrregina! Och, Rrrrrrrrrregina! Wybucho dwa albo trzy razy w ciągu nocy. Narzeczony jest konduktorem na dalekich trasach, więc kiedy zasypia, słyszy, jak stukają koła pociągu i moje obcasy. Tu-dum-ka-dum-tu-dum...

Viator in fabula

– Kolej żelazna to bardzo solidna forma narracji – podróżny naprzeciw mnie rozsiadł się wygodnie.

– Ma wszystko, co potrzeba dobrej powieści: linearną ciągłość, liczne zwrotnice, wciąż nowe postaci, które pojawiają się i znikają bezpowrotnie, a wszystko razem, połączone staromodną (chciałbym powiedzieć: żelazną) dyscypliną, rozwija się ze stałą prędkością, choć nie za szybko, no i bez wątpienia – po kolei! Nigdzie tak dobrze się nie opowiada, jak w pociągu! – wyciągnął nogi w wypielęgowanych butach ze złotymi klamerkami.

– Pamiętam moją pierwszą podróż: ledwie wsiadłem do wagonu, ledwie pociąg ruszył, a już mojemu ciału, bagażom i myślom narzucił się gotowy rytm – nigdy jeszcze nie doświadczyłem tak niebywałej spójności świata!

TU-dum – TU-dum – TU-dum – otworzyłem usta, ale nie usłyszałem nic oprócz dudnienia. No tak! – pomyślałem z goryczą. – Co z tego, że znam rytm mojej opowieści, kiedy brakuje mi... faktów. Wiem – jak! (TU-dum – TU-dum). Lecz... nie wiem – co!

Ach, nie przesadzajmy z faktami! – próbowałem się pocieszać. Fakty są jak zatęchłe samotne miłościny rozrzucone na pustkowiu: nie mają znaczenia, zanim się ich

nie połączy opowiadaniem, jak torami, a potem nie wpi-
sze do rejestru przyczyn i skutków, jak do rozkładu jazdy.
Wtedy dopiero zaczynają tętnić życiem! Tylko kolej żelaz-
na i opowieści łączą ze sobą to, co odległe, obce, a nawet,
ośmielałam się twierdzić, w istocie swojej zupełnie nie-
związywalne! Co może łączyć Chicago z Patagonią lub
Apeniny z Andami albo... pana i, powiedzmy, moje buty,
jeśli nie... — tu zachichotał.

— Tak sobie rozmyślałem, a człowiek, siedzący na-
przeciw mnie tak jak pan, kołysał się w znajomym rytmie,
jak wszystkie części kolejowego wszechświata, i pewnie
dlatego bezbłędnie odczytał moje rozterki:

— Myśli jak puste dudniące kapsuły — westchnął. —
Pan, widzę, pierwszy raz... Proszę mi wierzyć, mogło być
gorzej! Dobrze pamiętam swoją pierwszą podróż: już
wiele nocy wcześniej nie mogłem zmrzyć oka z podnie-
cenia! Oczekiwałem przygód i szaleńczych perypetii, a
kiedy już ruszyłem w drogę, ku własnemu zdziwieniu, nie
doświadczałem niczego oprócz... hm... czystego ruchu,
samej tylko drogi... Drogi, by tak rzec: in statu nascendi.
Słyszałem, jak zaczyna dźwięczeć, ożywiona nagłym po-
jawieniem się podróżnego, jak próbuje schwytać go
swój rytm, śmiesznym poszturchiwaniem zmusić do ule-
głości, by na koniec, bez ostrzeżenia, pogrążyć go we śnie
podczas któregoś z niespodziewanych uskoków.

Postoje spadały na mnie atakiem duszności. Char-
cząc, ściszałem gardło, przez które wdzierała się pustka
— droga wciąż drżała we mnie, przewleczone przez moje
ciało jak struna — ledwie żywy czekałem, aż skończy się
popas, a wyboisty trakt na powrót ujmie w karby moje roz-
trzęsione myśli — i ocali mi życie!

Po powrocie do domu pamiętałem tylko pociągi, autobusy, lektyki, samoloty, juczne zwierzęta... Pamiętałem wibracje, turbulencje, dudnienia... Pamiętałem... podróżowanie – ostatnie słowo wymamrotał już przez sen.

– Ja też pamiętam swoją pierwszą podróż! – pasażer, który właśnie wszedł do przedziału, położył walizkę na górnej półce, rozsiadł się zamasyżując obok mnie i zakłócał całym ciałem, szturchając mnie w ramię.

– Nie powiem... – zawiesił głos na cztery pełne „TU-dum”, co zrobiło cholernie mocne wrażenie.

– Nie powiem – powtórzył – żebym nie był zdziwiony, gdy z okna samolotu ujrzałem miasto o topografii I-DE-AL-NIE odpowiadającej liniom papilarnym mojego kciuka!

– O, TU-dum! – zadudniłem z wrażenia.

– I rzekę... – ciągnął – której brzeg WIERNIE odwzorowywał mój profil! A gdy już wylądowałem, to... nie uwierzy pan: brunatny zaułek pośród niskich domów i zielonej trawy BYŁ wcieleniem pewnej myśli o Bogu, która właśnie przyszła mi do głowy. Czym prędzej wsiadłem na okręt i popłynąłem na południe. Błąkałem się po morzu, aż w końcu, w małym portowym mieście na jednej ze śródziemnomorskich wysp, zmęczony żarem, przysiadłem w cieniu opuszczonego domu – i dopiero po chwili zorientowałem się, że układ pilastrów na murze złośliwie przedrzeźnia moją niemoc! Ale taka już jest natura pilastrów! Te płaskie występy na murze, udające kolumny – są z gruntu fałszywe! Byłbym się już z tego nie podniósł, lecz na szczęście – uśmiechnął się z ulgą – most w Glasgow, widziany w styczniu od północnej strony, w jasnej mgłę, zwrócił mi utracone poczucie wielkości i siły!

– Mosty takie są! – potwierdziłem.

Wyrzał przez okno. Okolice była wyjątkowo piękna, ale on wskazywał palcem w jeden punkt: pękaty rezerwuuar górujący nad miasteczkiem.

– Wieża ciśnień! Przypomina mi, że muszę natychmiast do... – i wybiegł.

A w przedziale był już nowy pasażer.

– Ja też przypominam sobie moją pierwszą podróż! – powiedział. – Siedziałem: o tak, jak teraz, a naprzeciw mnie siedział mężczyzna, zupełnie taki jak pan. Na stoliku pomiędzy nami parowały przyniesione z bufetu dwie szklanki z herbatą. Upiliśmy nieco kolorowego wrzątku i już po chwili, za sprawą mego współtowarzysza, szklanki zawierały tyle samo herbaty, co i koniaku, lecz była to równowaga chwilowa! Jako żywiol o nieporównanie większej mocy spiritus vini znajdował się w nieustannym natarciu, herbata zaś wycofywała się powoli, lecz stale, a jej mdłą zawziętość wyczuwaliśmy jedynie koniuszkiem języka. Nie minął kwadrans, kiedy po herbacie nie pozostało ani śladu, a jednak... – współpasażer uśmiechnął się tajemniczo. – Nasze szklanki wciąż wypełnione były jasnobrazowym płynem!

– Iluzjonista! – domyśliłem się.

– Och, nie! Nie! Był członkiem tajemnej sekty! Krążył po świecie jako jeden z ostatnich świadków ROZMOWY – obcowania dusz niesionych oddechem – głosząc jej śmierć i fałszywe zmartwychwstanie w Internecie:

– W czasach przemysłowej konfabulacji – zagaił mój towarzysz – jaką raczą nas filmy i powieści w miękkiej opowieści, takie „rękodzieło” jak rozmowa staje się klejnotem wymagającym specjalnej ochrony!

Zgodziłem się, on zaś chrząknął i znowu jakby zaczął – tym razem bardziej uroczyście:

– Ja, proszę pana, wszystko, co wiem, zawdzięczam temu, co opowiedział mi ktoś, komu opowiedział to znów ktoś inny, a tamtemu jeszcze ów, a owemu...

– A temu... – zacząłem, ale chwyciła mnie czkawka.

– Któremu? – podchwycił uprzejmie.

– Temu... co NAPRAWDĘ się panu przytrafiło – czy temu nic pan nie zawdzięcza?

Popatrzył na mnie z politowaniem:

– A jakże by mi się mogło w życiu co przytrafić, gdyby mi tego pierwej nie opowiedziano?

– Pan wszystko pomiesza! – krzyknąłem. – Najpierw COŚ się przydarza, a potem dopiero się o tym mówi! To życie wydziela z siebie aromat opowieści, jak winny bukiet, który opowiada o szczodrości miejsca i wietrze, dniach słonecznych i dobrych...

– Jest pan pewien? – zdziwił się szczerze. – A... marzenia? Czym one są, jeśli nie opowieścią o tym, czego nie ma i nigdy nie było, ale co bez wątpienia się wydarzy, jeśli tylko będziemy wierni... słowom!

– Doprawdy... nie wiem... – kołowało mi w głowie, a wtedy on natarł ze złością:

– Nie wiem! Nie wiem! – przedrzeźniał mnie. – Żeby wiedzieć, trzeba najpierw POWIEDZIEĆ! Już starożytni mawiali: Primum dicere, deinde vivere! Najpierw mówić, potem żyć!

– Nie wiedziałem. To znaczy: nie wiedziałem, dopóki pan nie... powiedział.

– No proszę! – uśmiechnął się tryumfująco.

Chciałem przytaknąć, ale gorący strumień, który z żo-

ładka płynął prostą drogą ku górze, porwał mi głowę, a ta, jak balon, uniosła się pod sufit i przytuliła do mlecznego klosza lampy.

– Czy pański towarzysz niczego nie zauważył?

– Niczego! On – mówił! A trzeba panu wiedzieć, że był on Bratem Inicjatorem, apostołem i forpoczta sekty, ustanawiał zdania bezwarunkowo pierwsze, zagajające, obiecujące, zdania-źródła. Za każdym razem, kiedy zaczynał mówić (a on wyłącznie „zaczynał mówić”), wygładzał przestrzeń poziomym ruchem ręki, jakby wyznaczał jakąś niewidzialną granicę, by potem, robiąc głęboki wdech, uczynić próżnię w miejscu, gdzie miała zadźwięczeć pierwsza sylaba Słowa: nie było tam jeszcze ani nieba, ani ziemi, ani gwiazd czy słońca – niczego, żaden świat nie został jeszcze stworzony, istniało tylko Słowo gotowe do erupcji.

– Więc on zagajał, a pan tymczasem... – ponagliłem, bo pociąg akurat przyspieszył.

– Zdekapitowany popadłem w bolesną rozterkę, bo, sam pan rozumie, ja – tu i ja – tam! Głowa, przycupnąwszy pod sufitem, szczyrzyła zęby sine od księżycowej poświaty i najwyraźniej coś knuła (jak to Głowa), podczas gdy drugi fragment mojej osoby z wegetatywną elegancją spoczywał w fotelu, chłonąc całym sobą kolejne inauguracyjne. Dla lepszego zrozumienia wychylił się nawet do przodu, unosząc lekko barki, aż w środku pojawiło się wgłębienie, a całość skupiła w kształt zasłuchanej morskiej muszli:

– A na początek – zaczął po raz kolejny Rozmówca – chciałbym rozważyć, czy opowieści istnieją w naturze, jako rzeczy, czy tylko w umysłach, jako myśli?

Sens tego zdania musiał ugodzić Korpus w samo serce, bo dłoń prawej ręki, nagle wyrzucona do przodu, pstryknęła palcami, czyniąc z tego pstryknięcia wykrzyknik; wgłębienie powiększyło się, jakby swoją wklęsłością chciało wywołać ciąg dalszy – Tułów wyraźnie mościł miejsce na słowa – lecz ten nigdy nie nastąpił! Rozmowa kuląła. Wtedy mój rozmówca wyznał zawstydzony, że wiele lat temu, dla większej maestrii, Konwersacjoniści podzielili się rolami, by tym piękniej prowadzić rozmowy wewnątrz Bractwa: byli zatem Bracia Zagajający i elitarne kółko Kulminatorów oraz, rzecz jasna, ci, co spinali klejnot rozmowy ozdobną fermaturą, twierdząc przy tym, że tylko koniec wieńczy dzieło i nie ma zaiste przyjemniejszego uczucia niż to, że wszystko już się skończyło. I nikt wówczas nie podejrzewał, że w zamyśle swoim szlachetna specjalizacja przyniesie tak tragiczne skutki!

W tej samej sekundzie Głowę dryfującą pod sufitem ogarnęło łzawe pragnienie, by zobaczyć owego fratra, któremu jest przyjemnie, kiedy kończy.

Co zapragnęła, to zobaczyła (jak to Głowa): jak na żądanie mój towarzysz rozwarstwił się: było ich teraz dwóch, jednakich, jak bracia bliźniacy, jeden zaczynał, drugi kończył, a tak sprawnie szła im ta robota, że ledwie Głowa mrugnęła powieką, a w przedziale aż pociemniało od historyjek z dwóch zdań złożonych tylko, co jak dwuskrzydłe cherubiny wyfruwały natychmiast przez okno. Lecz to wydało się Głowie zbyt proste, zaczęła wątpić (jak to ona): „Zdania przylegające do siebie i połączone próżnią, jak dwie półkule z Magdeburga, co nawet końskie zaprzęgi nie dały rady ich od siebie oderwać?! Jakież to banalne!” i natychmiast dodała dwóm Rozmówcom trzecie-

go – Kulminatora właśnie. Po dwakroć zreplikowany towarzysz mój zajmował teraz wszystkie miejsca po jednej stronie przedziału, Lewy od Prawego nie różnił się niczym, tak jak Środkowy nie odróżniał się żadnym szczegółem od pozostałych.

Głowa aż mlasnęła z zadowolenia: opowieści stały się teraz pełne napięcia, bo każdy z opowiadających walczył do upadłego o przewagę. Lewy zawiązywał akcję w tylu różnych punktach czasu i przestrzeni, wskazywał na tyle rozmaitych aspektów jednej sprawy, że stało się to w końcu trudne do zniesienia – początek zdawał się nie mieć końca! Kulminator dla odmiany, nie mogąc do czekać się głosu, kulminował na własną rękę, zasypując nas setkami możliwych suspensów. Prawy natomiast złośliwie odgrywał się na kolegach: najpierw wymyślając puenty wysoce nieprzyjemne, a potem w ogóle odma- wiając wykończenia, pozwalał płynąć kunsztownym ża- głowcom... bez rufy!

– Ale wróćmy do reszty... pańskiego ciała – zaproponowałem, bo fanaberie Głowy mnie znudziły.

– Tułów tężał. Nie wabił wklęsłościami, nie mościł przestrzeni na dalszy ciąg rozmowy, lecz, skrupulatnie podciągając nogawki, założył nogę na nogę z takim rozmachem, jakby chciał przeskoczyć samego siebie. Splótł ręce na piersiach i tak zasupłany zatonął w marzeniach rdzenia kręgowego.

Czasem jeszcze jakieś zdanie niczym gumowa kulka żłobiło dółek w jego ciele – Korpus, drgnąwszy, wymacywał wgłębienie, gmerał w nim, wyjmował coś, rękę wyciągał w stronę Głowy, żeby dała świadectwo słowom, lecz Głowa (co za upadek!), zajęta zabawą w Początek, Śro-

dek i Koniec, dawała świadectwo jedynie własnemu szaleństwu.

Nagle szarpnęło wagonem. Tułów chlasnął o ścianę jak gumowy worek, Głowa opadła na stół — poczułem ból. Moja świadomość z łoskotem wpadła do tunelu i już tam została — do czasu, aż dotarłem do miejsca... które miałem wypisane na bilecie. Kiedy jedziesz koleją, zawsze docierasz do końca. W takiej czy innej postaci...

Słońce właśnie wyplątało się z porannych mgieł i rozpoczęło podróż po czystym niebie, kiedy nasz pociąg „skończył bieg”, jak poetycko mówią kolejarze, a my, pasażerowie, wpadliśmy w narracyjną pustkę dworca — wietrzną, stalową konstrukcję pozbawioną rytmu i wibracji, w chłód nadmuchanego jak rybi pęcherz holu głównego. Świat wydał mi się ponurą wyrwą w pajęczynie żelaznych dróg, bolesną luką w prawdziwym życiu. Brakowało mi werwy metalicznego pulsowania, jednoznacznego porządku drogi, ludzi złączonych — skromnym co prawda, lecz przecież wspólnym — celem dotarcia do...

Bezbronny, poszturchiwany i nieważny jak bilet w mojej kieszeni czułem, że nie potrafię tak daleko żyć. Poszedłem do kasy — wygasły przed chwilą sens istnienia buchnął nowym płomieniem. Na peronie czarno odziani ludzie, wśród tajemniczych uniesień rąk i gwizdów, celebrowali Odejście. Drzwi zatrzasnęły się za moimi plecami.

Tak oto zostałem schwytany w żelazną sieć. Teraz wszystko, co najważniejsze, wożę ze sobą, a od rzeczywistości oczekuję jedynie... trochę drobnych! — zakończył i podsunął mi pod nos biały plastikowy kubeczek.

— Jeśli w dzisiejszych czasach nieznajomy opowiada ci jakąś historię, to na koniec z pewnością każe ci za nią

zapłacić! — mężczyzna uśmiechnął się do swoich butów ze złotymi klamerkami.

Niewidzialny rytm związał nasze ciała i zakołysał nimi z taką równoległością, jakbyśmy byli syjamskimi braćmi — ta nagła więź wydała mi się zawstydzająca. Mój towarzysz zdjął buty, przytulił się do szorstkiego oparcia i nakrył sobie twarz prochowcem. Korpus, obejmujący się troskliwie rękami, siedział naprzeciw mnie.

Uznałem, że jestem w przedziale sam. Stalowym prętem zmiażdżyłem mu krtań, Głowa opadła bezwładnie na stolik, Tułów próbował przez chwilę egzystencji na własną rękę, ale szybko zrezygnował i podążył za Głową. Laskę z połyskliwego metalu (wyglądała na zabytkową) wyrzuciłem przez okno — ze zgrzytem odbiła się od torów i wypadła z mojej fabuły (jeśli trafiła do innej, mam nadzieję, że nie będzie świadczyła przeciwko mnie). Wziąłem buty leżące na podłodze.

Pociąg zwalniał, rytm ledwie się tlił, jednym szarpnięciem otworzyłem okno i, zwinięty jak embrion, odepchnąłem się nogami od stolika.

Długo leżałem w trawie, a wilgotna ziemia wyciągała ze mnie znenawidzone dudnienie; drzenie wsiąkało w miękki grunt i grzęzło w korzeniach ziół, żelazny łoskot w mojej głowie rozpadał się na drzazgi, a dzielne, małe mrówki zabierały je ze sobą do swoich kryjówek.

Niebo nade mną lśniło jak gorący asfalt posypany piaskiem — świecące gwiazdy ktoś próbował połączyć liniami w figury zwierząt, rzeczy i bogów, ale ja udawałem, że ich nie widzę.

Tak zakończyła się moja pierwsza podróż... Skoro pan pytał.

Pan Dwadrzewko

Pewnej nocy, gdzieś między szóstym a siódmym rokiem życia, poczułem, jak Pan Bóg, niezbyt delikatnie, wpycha mi do gardła długą łyżkę do butów i każe mówić: „Aaaaaaaaaa!”.

– Aaaaaaaaaaaaa! – darłem się przerażony.

Łyżka niepostrzeżenie wsunęła się do żołądka i „z pewnością już tam zostanie – myślałem – a ja będę musiał żyć dalej z tym czymś metalowym i zimnym w środku! I może nawet, ku radości mojej matki, przestanę się w końcu garbić!”.

Nie miałem wątpliwości, że łyżka do butów w przelyku w żadnym razie nie powoduje śmierci głodowej. Raczej na odwrót, tylko ułatwia dorosłym karmienie dzieci: teraz jedzenie można było kroić w kostkę i w formie małych paczuszek przesyłać, jak po zjeżdżalni, wprost do żołądka.

Każdej nocy, gdzieś między szóstym i siódmym rokiem życia, jak wąty heros walczyłem z przeznaczeniem, które usiłowało wśliznąć się do mojego wnętrza pod postacią metalowej rynienki, takiej samej, jaka mojemu dziadkowi służyła do wkładania odświętnych oficerek!

To wszystko bardzo mnie zbliżyło do pana Dwadrzewki.

Był ode mnie starszy o jakieś pięćdziesiąt lat, lecz z melancholijnym zrozumieniem odniósł się do moich codziennych zmagani. Od niego dowiedziałem się, że ten ciężki przedmiot w żołądku to nic innego, tylko strach, że oto wskutek tragicznych okoliczności nie umrzemy razem, my wszyscy, którzy tak bardzo się kochamy, lecz któreś z nas, nieszczęśliwie ocalone, zostanie samo na świecie i będzie odtąd musiało żyć z tą swoją samotnością jak z kawałkiem metalu w przetyku.

Pan Dwadrzewko wyznał mi jeszcze w sekrecie, że prawie od czterdziestu lat nosi w sobie tę dziwną rzecz, choć jemu osobiście zawsze się zdawało, że jest to gładka karabinowa lufa.

Próbowałem pozbyć się jakoś metalowego intruza, który tkwił w moim wnętrzu: na przemian wymiotowałem i uderzałem się w brzuch, rozważałem nawet połknięcie haczyka na sznurku, dzięki czemu uwierający mnie strach pod postacią łyżki zostałby łagodnie odholowany i umieszczony tam, gdzie jego miejsce – w szafce z butami. Na koniec postanowiłem radykalnie rozwiązać cały problem.

– Umrzemy RAZEM! – zaproponowałem podczas obiadu. – Wszyscy! Na przykład w środę.

– Dlaczego w środę? – zapytała Babcia.

– Bo środa to taki dobry dzień! Akurat po środku! Słyszycie? Razem! Umrzemy razem, w środę!

– Ja nie mogę w środę. Jestem umówiona. Chyba że w czwartek... – powiedziała moja siostra Teresa.

– Ale w czwartek jest ten serial! Może po serialu? Ale wtedy nie dowiem się, co będzie w następnym odcinku – zmartwiła się Babcia.

– Ależ uspokój się, moja droga! Tam – Dziadek wskazał sufit – będziesz obcować ze wszystkimi przeszłymi, obecnymi i przyszłymi serialami, i to w sposób znacznie doskonalszy niż tu na ziemi!

– Na litość Boską, o czym wy w ogóle rozmawiacie?! – krzyknęła Mama, a Ojciec spojrzał na mnie surowo.

– Czy nasz syn przypadkiem nie jest chory? – zapytał, a potem sam sobie odpowiedział, ponieważ Ojciec zna odpowiedzi na wszystkie pytania. – On chyba znowu ma coś z gardłem!

Ojciec nabył pana Dwadrzewkę wraz z domem, co wyszło na jaw już pierwszej niedzieli po tym, jak wprowadziliśmy się tutaj całą rodziną, z telewizorem i kotami.

Pan Dwadrzewko zajechał przed dom na rowerze i przez werandę, od strony ogrodu, wszedł do pokoju. W szarym kombinezonie, którego nogawki spięte były klamerkami do bielizny, zasiadł za stołem i, wznosząc ręce niczym bladooki, siwy patriarcha, zagęścił nasz nienadmierny w końcu metraż tłumem poprzednich mieszkańców. Palcem wskazywał niewidzialne dziewczynki w szkolnych fartuszkach, krnąbrnych chłopaków, ich matki pochylone nad garnkami w kuchni, ojców i dziadków. Każdemu nadawał imię, przezwisko lub numer, jak postarzały Adam w Raju, któremu Bóg z litości zostawił skromną domenę Imienia. Dwadrzewko-demiurg uwijał się po domu w roboczym ubraniu, temu lub owemu doczepiając historyjkę, czasem tylko jedno słowo lub gest.

Najdziwniejsze jednak było to, że chociaż z tygodnia na tydzień czuliśmy się coraz bardziej nieswojo, jakby nie u siebie, nikt nie odmawiał panu Dwadrzewce prawa do co-

niedzielnych wizyt. Nikomu też nie przyszło do głowy zapytać, którym z kolejnych właścicieli był pan Dwadrzewko.

Nie wiadomo skąd wiedzieliśmy od razu, że pan Dwadrzewko z naszym domem jedynie się przyjaźnił.

– Oto – powiedział pan Dwadrzewko, wskazując palcem telewizor – Aniela Pierwsza. Tutaj się urodziła i tutaj umarła, w dwa tygodnie po swoich pięćdziesiątych urodzinach.

– Jest pan tego pewien? – zapytałem z niedowierzaniem. – To przecież zupełnie niemożliwe, żeby urodzić się i umrzeć w tym samym miejscu! Ja mieszkałem już w pięciu różnych mieszkaniach, chociaż nie mam jeszcze siedmiu lat...

– Zaręczam, że nie tylko urodziła się i umarła w tym samym miejscu, ale również przeszła w nim wszystkie swoje choroby i wszystkie miłosne uniesienia, i urodziła Jana Trzeciego, a to dlatego, że tu, gdzie teraz stoi wasz telewizor, niegdyś stało czeczotowe łóżko jej babki Celiny.

I jakby tego było mało pan Dwadrzewko, nie czekając, zagęścił nasz pokój telewizyjny babką Celiną.

– O, pamiętam ją dobrze! To była wielka patriotka! Zawsze siedziała w fotelu, o tam... I całe życie chodziła w żałobie – pan Dwadrzewko zawiesił głos, czekając na nasze pytanie, lecz my siedzieliśmy w milczeniu, patrząc w kąt pokoju, w którym ukazał się zarys postaci w czarnej sukni.

– Państwo się pewnie ciekawią – westchnął po chwili – czemu ona w żałobie? Ja państwu powiem: po generale Nosku! Właściwie to... nie po całym generale, ale po generała części! Po jednym kawałku generalskim płakała pani Celina przez całe życie!

Matka chrząknęła i zdanie: „Idź się, syneczku, pobawić do swojego pokoju” nawinęła właśnie na palec wskazujący drzwi, kiedy pan Dwadrzewko powstrzymał ją niespodzianie:

– Pani szanowna nie zechce się obawiać, to historia patriotyczna i pouczająca dla młodzieży. A było tak: jeszcze przed pierwszą wojną przemycała babka Celina przez kordon pruski serce generała Noska...

– Serce? Samo? Wyrwali mu serce? – jęczałem zachwycony. – Babka Celina była czarownikiem voodoo?

– Ależ... ona je tylko chciała narodowi zwrócić i w Ojczyźnie pochować! – rozwiła moje złudzenia Babcia.

– A jak ona je wiozła? – miałem jeszcze odrobinę nadziei.

– W słoju – powiedział pan Dwadrzewko i moja nadzieja rozprysła się na kawałki. – A słoju, ukryty w halkach, pod spódnicą, ścisnęła Celina całą drogę z Rapperswilu kolanami, bo Prusacy żadnych bohaterów, nawet w kawałkach, do kraju wpuszczać nie chcieli. I wiecie wy co, państwo szanowni? On nie wytrzymał!

– Kto?! – krzyknęła Babcia.

– Słoju! On pękł – ten słoju z sercem generalskim – a ostre szkło wbiło się w uda dziewczyny. Och, ona nigdy już nie doszła do siebie po tym wszystkim. Pewnie dlatego, że się to serce na amen gdzieś zawieruszyło. Siedziała potem pani Celina całymi dniami w fotelu, o tu, w kącie, i powtarzała w kółko: „Serce zgubiłam... Zgubiłam...”.

Nie wytrzymała również Matka:

– Mam tego dość. Ciągłe się o nich objam, wygląda na to, że mamy dwa razy więcej dzieci. Ten mały grubasek, Jan Trzeci, czy jak mu tam, podglądał mnie wczoraj w łazience!

– O, moja droga – zaprotestował Dziadek – on wcale ciebie nie podglądał, to jego pokój został przerobiony na łazienkę.

– Kiedyś ludzie się nie myli? – zapytałam z nadzieją w głosie.

– Kiedyś myto się w pokojach, a wodę w dzbanie przynosiła służąca – Dziadek uśmiechnął się, choć nie wiadomo: do dzbana, do służącej czy do obu naraz.

– A ja już całkiem utraciłam radość oglądania seriali! Wciąż widzę tę kobietę w czeczotowym łóżku... To straszne! – i Babcia się rozplakała.

– Pewnie, że straszne! Całe życie w tym samym łóżku, i może jeszcze z tym samym facetem? Brrr – Teresa była naprawdę oburzona. – Jutro muszę koniecznie przemeblować swój pokój. O, już wiem! – powiedziała radośnie. – Materac położę pod oknem!

I wtedy Matka, nie wiadomo dlaczego, zaczęła krzyczeć histerycznie:

– Materac?!!! Chciałaś powiedzieć: BARŁÓG!!!
CHOLERNY BARŁÓG!!!

Zrobiło się bardzo cicho.

Patrzyliśmy na Matkę zdziwieni, jak na postać z Dwa-drzewkowej opowieści, ale ona niespodziewanie miękko zwróciła się do Ojca:

– Pomyślałam sobie, kochanie, że moglibyśmy na stare lata kupić sobie takie... prawdziwe łóżka. I postawić je, o tam... – jej dłoń, niepewnie, rozwinęła się jak wachlarz, wskazując miejsce, gdzie stał telewizor.

Tego było już naprawdę za wiele. Ojciec pękł, jak niegdyś słoń z sercem generała Noska, a cała jego wściekłość wylała się na nas.

– Czy wy nie widzicie?! – wrzeszczał. – Czy wy zupełnie nic nie widzicie?!

– Ależ widzimy, widzimy! Wszędzie widzimy! Tylko co właściwie mielibyśmy z tym zrobić? – zapytał rzeczowo Dziadek.

I wtedy, rzecz jasna, Ojciec skupił się na mnie – jak zawsze, kiedy nie wiedział, co powiedzieć:

– Zobaczcie tylko, jak ten chłopiec wygląda! – celował we mnie palcem, jak z pistoletu.

– No jak? – zdziwiła się Babcia.

– Pokaż się, kochanie – Matka zaczęła mnie dokładnie oglądać, zaczynając od szyi.

– On robi się coraz bardziej podobny do tego... Dwa drzewki! – powiedział Ojciec grobowym głosem. – Ten nos! Zobaczcie tylko, jakiego on dostał nosa! I jak dziwnie zaczął mówić!

– Jeśli idzie o ścisłość, Henryku, to on mówi z akcentem, jaki przed wojną można było usłyszeć w okolicach Gęziej. Pamiętam... – Dziadek zamknął oczy, co było niezbitym dowodem na to, że cała jego pamięć zapisana jest na wewnętrznej stronie powiek. – Pamiętam, że kiedy byłem w jego wieku, biegałem tam o zmierzchu, do starego Cwajbauma, po bułki – nazywały się „wieczorówki”! Mmmmm, cóż to były za bułki! Do dziś pamiętam ich smak! A ten zapach!

Ściaga z pamięci przestała być potrzebna, więc Dziadek uniół powieki, a w jego oczach, po raz pierwszy w życiu, zobaczyłem łzy.

– No pięknie, pięknie! Okazuje się, że nasz rodzony syn jest... – Ojcu stanęło coś w gardle i dokończył szeptem – Żydem!

– Kochanie, nie wolno ci tak mówić! – rozplakała się Matka. – On jest jeszcze taki mały!

– A co do nosa... – Babcia poczłapała do szafy i wyciągnęła z pudełka jakąś fotografię – to bardzo cię przepraszam, mój drogi, ale to jest nos babki Kapczyckiej!

Oglądaliśmy zdjęcie w milczeniu, aż Dziadek powiedział w końcu to, co nam wszystkim utkwilo w gardle, co nie dawało się przełknąć:

– Nos, faktycznie, jak u tego Dwadrzewki, ale to jest przecież twoja babka, Henryku, nieprawdaż?

Dziadek popatrzył na Ojca rozbawiony, a potem zanucił: „Ach, wy, Żydkowie, Boga męczyli! My nie męczyli, tylko tam byli!”.

Ojciec zbladł, a jego palec wskazujący, palec-donosiciel, palec-Judasz, teraz zamienił się w pałeczkę dobo-sza, bijącą na alarm w blat stołu.

– No dobrze – wycedził. – Jak sobie chcecie. Ale ostrzegam: jak tak dalej pójdzie, to znów będziemy musieli się przeprowadzać!

Seriale przestały Babcie interesować. Siedziała teraz w swoim pokoju i, razem z Anielą Pierwszą, „z tą kobietą od Dwadrzewki”, jak pogardliwie mówił Ojciec, całymi godzinami oglądała stare zdjęcia.

– Popatrz tylko – Babcia czułymi palcami dotykała twarzy na fotografiach – ten grubasek z bacikiem i głupią miną to mój ukochany brat, kiedy miał trzy lata. Takim go pamiętam, a przecież jego twarz zmieniała się jeszcze wiele razy, zanim rozdarła ją, jak kartkę papieru, końska podkova... To straszne, że nic innego nie mogę sobie przypomnieć oprócz... tej fotografii! Najbanalniejsza ze wszystkich

pamięci, a jak panoszy się bezwstydnie! Popatrz: mój biedny mały braciszek skazany na bezterminową śmieszność przez fotografa Leonarda ze Złoczowa!

Chciałabym, żeby pamięć miała swoich... posłańców! Anioły zwiastujące radosny czas i miejsca tak odległe, że nic innego nie byłoby w stanie ich przywołać. Anioł Miejsca, Angelus Loci, najpierw długo i starannie nasycalby przestrzenią pióra swoich skrzydeł, skórę i szaty, a potem, przelatując nad naszymi głowami, gubiłby fragmenty miejsc utraconych na zawsze. A my, zatrzymując się, zdziwieni, wciągalibyśmy głęboko powietrze, pytając: „Skąd się tutaj wzięła cukiernia pana Szmady z ulicy Szkolnej?”. Albo: „To przecież strych mojej ciotki Klary i jej szafa pełna sukien przesiąkniętych zapachem potu i perfum Fougère”. O tak! Przeszrenna natura tego anioła mogłaby przyprawić człowieka o zawrót głowy!

Każdego dnia umieram z tęsknoty za domem, tym pierwszym, w którym się urodziłam, z którego wyrzuciono nas w ciągu jednej nocy, który zburzono tak, że nie zostało nic... Ale ty przecież nie możesz o tym wiedzieć: ty urodziłaś się w stołowym i tam umarłaś! Za to ja... Czekam, aż któregoś dnia anioł mojego dziecięcego pokoju otoczy mnie swoimi wonnymi skrzydłami, a wtedy...

Babcia rozplakała się jak małe dziecko. Skulony pod stołem widziałem, że Aniela patrzy na nią ze smutkiem i, wahając się, wyciąga rękę, jakby chciała pogłaskać Babcię po głowie.

A kiedyś moja siostra Teresa wpadła do kuchni, i mrużąc pod nosem „ram-pam-pam-pam-tarira-ram-pam-

pam-pam”, wyginała się i przewracała dziwnie oczami. Matka, jak zwykle podejrzewając infekcję, zapytała:

– Źle się czujesz, moje dziecko?

Ale Teresa nagle odchyliła się, jakby chciała zrobić mostek, no i wywaliła się na podłogę.

– Ta para od Dwadrzewki – powiedziała – która mieszka w moim pokoju, ćwiczy to od rana do nocy. Chyba mają stracha, że ktoś wejdzie, tacy są przerażeni. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego? Przecież to całkiem fajne! Muszę pokazać Dziadkowi taką śmieszną figurę, przy której oni zawsze się myślą.

Potem wyrzuciła nogę do przodu, przeskakując niewidzialny rów dzielący naszą kuchnię od przedpokoju.

– A raz... – Teresa z głupią miną zaczęła mrugać oczami – on jej skradł całusa w tańcu! – i mruczac „ram-pam-pam-pam-tarira”, pocałowała na piętro.

W niedzielę, jak zwykle, pan Dwadrzewko siedział za stołem i gadał, a my w milczeniu słuchaliśmy.

– Aniela Pierwsza miała brata, Ignacego, który był kucharzem. Tak, tak! Był kucharzem, zawodowym! I śmierci doczekał się pięknej, bo zawodowej! I czy uwierzą mi państwo, jeśli ja powiem, że on umarł na patelni? Nie? A czemu nie? Czemu miałby nie umrzeć na patelni, skoro był kucharzem?

Powiem państwu tak: był pan Ignacy prawdziwym mistrzem kucharskim, jego sobie restauratorzy z rąk wyrwali, jednego wolnego dnia nie miał, kalendarz na dwa lata z góry zatrudnieniem przepelniony: wesela, chrzciny, zjazdy. A co się działo, kiedy jakaś państwowa głowa zapowiedziała swoją wizytę – tego ja wolę nie mówić!

Raz przed taką wizytą sam pan właściciel Sztajn z hotelu Europejskiego przychodzi i błaga: „Mistrzu Drogi, musisz do mnie zaraz przyjść, obiadu doglądnać, bo sprawa jest międzynarodowa, wielkie napięcie dyplomatyczne, więc żeby z tego później jakiej wojny nie było!”. A pan Ignacy obłożnie chory w gorączce leży i ruszyć się z łóżka nie może. Więc Sztajn ambulans zamówił, żeby chorego w pościeli przewieźć, a w samym Europejskim, w kuchni, wielką patelnię gazową kazał nagrzać i tam Mistrza w ciepło ułożył. No cóż — westchnął pan Dwadrzewko — obiad, można by rzec, bardzo się udał, chociaż podwójnie był dla nas tragiczny: po deserach znaleziono pana Ignacego bez ducha w jego patelni, a wojna... Wojna i bez tego obiadu...

Pan Dwadrzewko posmutniał i zaczął chrząkać — jakby coś utkwilo mu w gardle.

Zawsze lubiłem patrzeć, jak Dziadek mocuje na klamce swój wojskowy pas, jak mocno go napręża, jak pluje potem na niego i posuwistymi ruchami, raz w górę, raz w dół, ostrzy brzytwę. Na parapecie okna czekała już miaseczka z wodą, słupek mydła i pędzel z krótkim uchwytem. Stare lustro, zaczepione drucianą nogą na klamce okna, odbijało namydlone policzki Dziadka i już po chwili słyszałem chrzęst brzytwy odslaniającej różową, gładką skórę. Biała piana nagle szarzała od maleńkich włosków, a Dziadek delikatnym ruchem przenosił ją na rozłożoną gazetę.

Siedziałem tak pewnej soboty, patrząc na brzytwę, której nie wolno było mi dotykać. Niecierpliwie czekałem na rozkaz, który miał paść lada chwila: „Adiutancie, na-

mydlić pędzel!”, a potem Dziadek kręcił pędzlem małe kółeczka od jednego ucha do drugiego. Dziewczyna, która teraz mieszkała w jego pokoju – „dziewczyna od Dwadrzewki”, rzecz jasna – czytała list.

„Wróć, ucałuj, jak za dawnych lat...” – zanucił Dziadek i mrugnął w moją stronę. Zrobił ryjek, żeby napiąć skórę, przytrzymał go lewą ręką, a brzytwa, jak gilotyna, opadła na jego bezbronny policzek.

Dziewczyna zgięła się w pół, list wypadł jej z ręki. Brzytwa rozciąła mydlane pole i wtedy zobaczyłem wszystko wyraźnie: widnokrąg wypełnił się wojskiem, jak krwią – mknęli na oślep przez śnieżne zasy, podzieleni na bitewne strugi, by potem, zakolem brody, spłynąć prosto w otchłań otwartych Dziadkowych ust.

Teresa leżała na swoim „cholernym barłogu” i robiła jointa. Obok niej, przy stole, siedział Kazik i z uwagą czyścił rozłożony na części pistolet. Lubiłem patrzeć, jak to robi. Ojciec Kazika był ułanem, jeździł na prawdziwym koniu i miał prawdziwą szablę, a potem zginął w prawdziwej bitwie, tego samego roku, kiedy jesienią nikt nie poszedł do szkoły. Kazik ciągle czyścił swój pistolet w pokoju Teresy, bo też chciał zginąć w prawdziwej bitwie, jak jego ojciec – pan Dwadrzewko zapewniał, że udało mu się spełnić swoje marzenie „w ostatniej dogodnej chwili”.

Teresa, zezując na czubek skręta, zaciągnęła się z namaszczeniem i, nadęta jak żaba, podała jointa Kazikowi. Kazik ujął go w dwa palce i, wydmuchując kłęby dymu, wypalił szybko do końca. Teresa zaczęła dusić się ze śmiechu, chichotała z wydętymi policzkami, bulgocząc całą czerwona, aż w końcu pękła i z jej zaciśniętych ust wy-

płynęła szara chmurka. Teraz moja siostra śmiała się już na cały głos najgłupszym ze swoich śmiechów.

– Jezuuuuu! – wyła Teresa. – Ale was ten Dwa-drzewko zapudłował w swojej pamięci! Czy wy nie macie tego dosyć? Co?!

Kazik milczał zajęty przygotowaniem do swojej bitwy.

– Ja tam nic nie pamiętam! Bo i po co? – ciągnęła Teresa. – Ja żyję na bieżąco! Po każdym dniu spuszcza wodę, jak w kiblu, i całe gówno odpływa nie wiadomo dokąd. Proste?

– Chociaż... – moja siostra zagapiła się na sufit. – Czasami śni mi się... miejsce. To, w którym się urodziłam. W końcu, co jak co, ale miejsce jest ab-so-lut-nie konieczne, żeby się urodzić. Bardziej niż ojciec i matka. Z tego jednego miejsca jesteśmy już na zawsze, nawet jeśli wszystko wokół się zmienia. Może nas lepią z ziemi, na której się rodzimy? Co?

Kazik, przysięgam, spojrzał na moją siostrę z zainteresowaniem.

– To miasto – odpowiedziała sobie Teresa – zbudowane było z dwóch warstw, zupełnie sobie obcych i nieprzyjaznych.

Miasto Pierwsze, zapis powolnego ruchu myśli, zaczynało się w jakimś czworobocznym centrum, choć mógł to być również kolisty plac, wzgórze lub wyspa w rozwidleniu rzeki, skąd ulice wypływają jak ze źródła, tocząc się kręto poprzez mosty, we wszystkie strony świata.

Miasto Drugie powstało nagle, w jednej chwili, nie dłuższej niż parę dziesiątków lat, wykonane niechlujnie i tak anonimowe, jak urzędowe obwieszczenie. Całe kwartały pozbawione były znaków szczególnych, bezgawita-

cyjna przestrzeń nie ciążyła ku żadnemu punktowi, żadne niewidzialne centrum nie przywoływało ulic. Zabłąkani przechodnie, schwytni monotonnym uściskiem między beznadziejnie równoległe ulice, dawali się im prowadzić, aż do nieskończoności. Gdzieniedzie, jak spod warstwy złuszczonej farby, wyzierało Miasto Pierwsze: szyny zamierzchłych linii tramwajowych przecinały chodniki i znikwały w fasadach domów, a na śródmiejskich pustkowiach zarosniętych wysoką trawą pojawiały się nieoczekiwane wytworne podjazdy i granitowe krawężniki. Nowe ulice ledwie trzymały się śladów starych, pokrywając dawną fizjonomię miasta stężalym grymasem apoplektyka.

Miasta nie lubiły się, to było jasne, zjadliwie komentowały wzajemne niedoskonałości. Na szczęście... wodociągi zachowały neutralną niewidzialność wobec sporu i, jak tajna policja, dyskretnie obsługiwały zmieniające się reżymy. Pamiętam hydrant na rogu naszej ulicy – stał na baczność w żeliwnej pikelhaubie jak funkcjonariusz podziemnej formacji, którego zapomniano w porę odwołać.

– Byłam starsza od otaczających mnie betonowych domów na osiedlu! Byłam nawet starsza od okolicznych pagórków! – powiedziała z dumą moja starsza siostra. – Mówiliśmy na nie: Monte Klamote.

Pamiętam, jak rosły usypywane z intymnej zawartości opuszczonych mieszkań, z poturbowanej ludzkiej pamięci, która na koniec nadaje się tylko do tego, żeby z niej zrobić wielką górę – w sam raz do zjeżdżania zimą na sankach. Najokazalsze było Wzgórze Generała Noska. Kiedy padał deszcz i zmywał ziemię ze stoków, ukazywały się niebieskie ornamenty „zwiebelmuster”, porcelanowe kapsle od butelek z czerwonym napisem „C. Kipke Braerei. Breslau

1844”, obtłuczone korpusy maleńkich laleczek, wyłysiałe szczoteczki do zębów zrobione z kości, szczątki waz i kubków z obcymi napisami: „Lebe glücklich” czy „Zum Geburtstag”. Góra odsłaniała nam znaki, których sensu nie mogliśmy pojąć: dwa skrzyżowane miecze z Meissen, sygnaturę Kaendlera, królewskie berło manufaktury berlińskiej.

– A w naszej kamienicy – przypomniała sobie Teresa – sąsiad Poratycki wył po nocach. Matka mówiła, że on choruje na pamięć – chyba za dużo jej miał w środku, bo głowę ścisnął sobie rękami i wył. Raz spotkałam go na schodach, więc mówię do niego: „Panie Poratycki, kto to widział, żeby tak całą pamięć w głowie trzymać. To nie jest higieniczne! Trzeba ją na śmietnik... Albo może górkę dla dzieci usypać? Co?!”.

Kazik właśnie złożył pistolet, wycelował nim w głowę Teresy i nacisnął spust. Potem sam przystawił sobie lufę do skroni. I śmiali się strasznie głośno.

Chłopak, co zginął dawno temu, i moja siostra.

Ojciec przed snem rozwiązywał krzyżówki, jakby chciał uwięzić wszystko, co wie, w małych kratkach, za nim zapadnie noc i sen odbierze mu rozum.

Matka leżała obok niego, a w nogach wersalki siedział Antoni Piąty, syn Anieli, i kleił modele samolotów.

– Łata w powietrzu, pionowo – powiedział Ojciec.

– Czy ciebie nigdy nie zastanowiło, dlaczego oni tu są? – spytała Matka.

– A kto tu jest? – zdziwił się.

– No jak to kto? Te wszystkie kobiety, dzieci, mężczyźni...

– Aaaa! Oni! Nad czym się tu zastanawiać? Przyjechał ten cholerny Dwadrzewko na swoim przedwojennym rowerze, naopowiadał, naopowiadał, i teraz wszyscy musimy się męczyć! Ot, co!

– Nie, nie! To nie to! W tym musi coś być, ja ci mówię! Mnie się zdaje, Henryku, że tutaj... – Matka wytrzeszczyła oczy przerażona – CZAS SIĘ ZASTAŁ!

Apotem zaczęła mówić całkiem jak pan Dwadrzewko:

– Znaczy, nie od razu. Wpierw to on sobie płynął i płynął, powoli, jak strużka lipowego miodu, taki pachnący, prześwietlony słońcem, a oni wszyscy płynęli razem z nim skąpani w życiodajnej strudze: Aniela Pierwsza, i pani Celina, i Jan Trzeci, i nawet ten Dwadrzewko, ja ci mówię, że on też tam płynął razem z nimi! A potem... Tu coś się musiało stać, Henryku! Coś straszego! Coś niewyobrażalnego, co sprawiło, że ten czas w jednej sekundzie zwarzył się, zgęstniał i zastygł na kamień! A oni... zostali w nim na zawsze, jak owady w kawałku żywicy.

– Owady, powiadasz? – zastanowił się Ojciec. – Nie! Owady nie! Nie pasuje. Za mało liter.

Antoni skończył kleić swój model i puścił go w powietrze. Samolot leciał krótko i spadł na gazetę Ojca, którego olśniło niespodziewanie:

– Samolot! Właśnie!

Wpisał słowo do kratek, a potem przyjrzał się Matce z uwagą.

– Coś mówiłaś, kochanie? Coś się zwarzyło?

Ale Matka siedziała na wersalce, w białej koszuli, jak duch, wpatrzona w nie wiadomo co, mówiła nie swoim głosem:

– Coagulatio Temporis! Coagulatio Temporis, Henryku! Zakrzepły czas! Jakieś wydarzenie, tak straszne, że nie może go unieść nurt czasu... Co to takiego, Henryku, co nie odpłynęło z dniami, co wytrąciło się, jak ciężki osad, którego nie da się już zmyć?

Co to takiego? Co to takiego?

Jeśli mój Ojciec przestał się przejmować dziwnymi lokatorami w naszych pokojach, to chyba dlatego, że miał swojego własnego ducha, w swoim własnym ciele, a pan Dwadrzewko, tak czy siak, nie miał z tym duchem nic wspólnego.

Ojciec czasami mówił przez sen głosami: jednym zwyczajnym, swoim, chrapliwym, i drugim, co brzmiało łagodnie, jakby chłopięco. Duch miał na imię Henryk, tak samo jak mój Ojciec, i choć był młodszy, Ojciec wyraźnie się go bał.

– Skąd się tu wzięłeś, Henryku?! – pytał przestraszony. – Dwadrzewko... nic o mnie nie wie! To nie przez niego, prawda? Powiedz...

– Jasne, że nie przez Dwadrzewkę! – odpowiadał tamten. – To przez ten dom. Idealne miejsce... A już myślałem, że nigdy się nie spotkamy – bo ty bez przerwy gdzieś się przeprowadzasz. Albo rozwiązujesz krzyżówki. Ale w tym domu będziemy mogli być nareszcie razem... wszyscy! Tak jak dawniej. Pamiętasz?

– Czy... Czy ONI jeszcze tam są? – pytał Ojciec.

– A więc pamiętasz! Wiedziałem, że będziesz pamiętać! Oni też wiedzieli. Ona co sobotę piekła chleb z kminkiem, żebyś, jak mówiła: „po zapachu trafił”. A on znowuż drzwi noc w noc na rozcież otwierał, że niby pukania mo-

gliby nie usłyszeć. Złodziej ze dwa razy ich okradli, ale potem dali spokój, bo co Oni tam mogli mieć? Tylko koty przychodziły grzać się do sieni.

– Czy... Oni... – głos Ojca drżał. – Czy jeszcze tam są?

– Prawdę rzekłszy, to... ich tam już całkiem nie ma.

– Nie...ma? – Ojciec zaczynał się dusić.

– Najpierw Stara, ot, w kuczy na zydlu przysnęła i już jej nie dobudzili. A Stary... hm... – duch był zakłopotany.

– No cóż, dziewięćdziesiątka dobiegał, a Pana Boga zachciało mu się poprawiać! Wstyd powiedzieć, ale... powiesił się Stary. Ludzie mówią, że to od twojej niepamięci Starzy pomarli. Boś ty o nich ani razu nie wspomniał – ani sobie, ani innym. Jakże tak? – dziwił się młody Henryk. – Poskapiłeś im anegdoty? Tej okruszyny od ust sobie nie odjąłeś, co by im dwojgu za całą wieczność starczyła? Wstydź się, Henryku! Żeby Oni tam owej gęstości istnienia nie zaznali, tego arcy-konturu, jakiego nabiera wszystko, czemu przytrafi się zaszczyt bycia dobrze opowiedzianym?! Żeby nie wpadli w wir fabuły, który jak trąba powietrzna oderwałby ich od miejsca i czasu, uniósł w górę, by odtąd mogli przenosić się wszędzie wraz z tobą? Żebyś już zawsze z nimi był i nie opuszczał ich ani na chwilę...

– Puść mnie, puść, Henryku! – krzyczał Ojciec.

– Puść mnie, puść, Henryku! – darła się moja Matka. Próbowała obudzić Ojca, siadając na nim okrakiem i potrząsając za ramiona, a on, nieodmiennie, chwycił ją za szyję i dusił.

– O Jezu! – jęczała. – Ledwie żyję! Najadłeś się za dużo smażonego, mówię ci, to od żołądka masz takie sny.

Patrzył ponuro.

– To nie smażone! To... ten dom – odpowiadał i odwracał się na bok, twarzą do ściany.

W każdy czwartek przychodziłem do pokoju Dziadka, żeby pluć na jego oficerki.

Ja plułem z całych sił, a Dziadek wycierał buty miękką szmatką. Dziewczyna, z którą teraz mieszkał, ta „od Dwadrzewki”, zwykle siedziała naga przed lustrem i czesała włosy, więc musiałem stać odwrócony do niej plecami, przynajmniej do czasu, aż nie włożyła szlafroka.

Któregoś czwartku zastałem Dziadka ubranego jak do drogi, w starym wojskowym palcie, w wyglansowanych oficerkach, z walizką przy nodze.

– Nie! Ani słowa! – krzyknął, choć byłem pewien, że wcale mnie nie widzi.

– To już nieodwołalne! To rozkaz! Nie próbujcie mnie zatrzymywać! Postanowiłem wrócić! Właśnie teraz, kiedy śmierć mruga na mnie miłośnie swoim wielkim okiem z dna każdej filiżanki kawy pitej do śniadania... I kiedy woła: „wejdź we mnie, wejdź, zanurz się w mojej czarnej źrenicy, dam ci rozkosz niepamięci!”. Innej drogi już nie ma... Dlatego was opuszczam, towarzysze wojenni... – Dziadek spojrział na mnie oczami pełnymi szaleństwa.

– Jeszcze przed świtem muszę zdążyć do Miasta... – zaczął mówić szeptem – MISJĘ arcyważną, arcytajną wypełnić. Misję skupienia na powrót tego, co czas, wojny, a i ja sam tak bezkarnie po świecie rozwłóczył. Trzeba mi teraz samemu po śladach własnych wrócić: Świętojańską ulicą, od Zaułka Garncarskiego, przez

Rynek przejść, i parkową ścieżką raz jeszcze, ostatni, do Zamku się wspiąć, w letni wieczór wejść, jak do rzeki tej samej, a potem, w SIEBIE SAMEGO wstąpiwszy, tę jedną jedyną, ukochaną moją objąć, we łzach jej się przejrzeć i powiedzieć: „Oto wróciłem, miła, jakem obiecał”.

Rozejrzałem się po pokoju, ale dziewczyny w nim nie było.

Później pan Dwadrzewko przyjeżdżał także w dni powszednie i wtedy mogliśmy sobie spokojnie porozmawiać. Siadaliśmy przy stole w kuchni, jakaś kobieta miesiła ciasto, a pod stołem dwie małe dziewczynki ubierały w szmatki długą łyżkę do butów i bawiły się nią jak lalką.

— Ta dziewczyna z pokoju Dziadka? — zastanowił się pan Dwadrzewko. — Ach! Elwira, kuzynka Anieli! No cóż, zdaje się, że umarła. Jej mąż zginął, a ona umarła z żalu, chociaż potem się okazało, że on żyje, i to z całkiem nową żoną, tylko zapomniał o tym napisać. Natomiast Jan Trzeci ożenił się z Zuzanną Fartuskówną — tak ją nazywano, bo jej matka miała sklepik ze szkolnymi fartuchami niedaleko stąd. Mieli dwie córki, Justynę i Jankę, ja zaś kolegowałem z ich synem, Antonim Piątym. A trzeba ci wiedzieć, że byliśmy obaj najlepszymi w okolicy... — pan Dwadrzewko uniósł ręce i odgarnął na bok niewidzialną zasłonę zakrywającą magiczne słowa: „zakopywaczami skarbów”.

— Za... zakopywaczami? Skarbów?! — jęknąłem porażony, albowiem nic, co dotąd przeżyłem, nie przygotowało mnie na spotkanie z taką cudownością.

– A tak! – zaśmiał się tryumfująco. – Najpierw wynosiliśmy z domu srebrne sztucce i zegary, zakopywaliśmy to wszystko w ogrodzie, żeby potem, wedle mapy zrobionej na kawałkach starych skór, móc odnaleźć nasz skarb i z drżeniem serca wydobyć go z ziemi. A wiesz ty co? – zastanowił się. – Zdaje mi się, że nasz ostatni skarb ciągle jeszcze gdzieś tam leży w ogrodzie. Nie zdążyliśmy go wykopać zanim... – i pan Dwadrzewko zamilkł nagle, zamyslił się, a potem zaczął chrząkać.

– Jednego ciągle nie rozumiem! – wypaliłem wprost do pana Dwadrzewki. – Ci wszyscy ludzie, o których pan tyle opowiada, to przecież wcale nie byli pańscy krewni, prawda? Więc dlaczego nigdy, ani słowem, nie wspomni pan o swoich rodzicach, o rodzeństwie, jak oni żyli i gdzie są... teraz?

– Sza! Sza! – pan Dwadrzewko położył mi palec na ustach. – Ten dom jest moja najlepsza rodzina! Najlepszy ojciec, najlepsza matka, najlepsi bracia. A ja jestem jak ślepe szczenię – zawsze będzie mnie ciągnąć do zapachu tej kuchni i do tego ciepła na werandzie. Kiedy miałem tyle lat, co ty – tak, to było gdzieś między szóstym i siódmym rokiem życia – przybiegłem tu raz, po zmroku. Strzelali za mną, ale ja dobiegłem i stanąłem tu, gdzie ty teraz stoisz, a domownicy otoczyli mnie, krzycząc z przerażenia. Nie wiedziałem, co się ze mną stanie! I wtedy dom przygarnął mnie, wchłonął, schronił w swoim wnętrzu, ale tak jak jeszcze nigdy nikogo – żyłem w jego ścianach, pod podłogami, w czeluściach jego piwnicznych korzeni, w najtajniejszych splotach dachu. I wiesz co? Słyszałem, jak ten dom żyje, jak szepcze i wzdycha, jak się

złości, jak drży z gniewu, kiedy nadciąga burza, albo jak skrzypi w gorące letnie noce. Mijały miesiące, a może lata, i zaczęło mi się zdawać, że to ja sam jestem domem i że ci wszyscy ludzie mieszkają we mnie...

Nadeszła noc, gdzieś między szóstym i siódmym rokiem mojego życia, kiedy nagle obudziłem się przerażony i zacząłem głośno krzyżeć. Drzwi do mojego pokoju otworzyły się z hukiem, jakby ktoś mocno je kopnął. Do środka wpadli uzbrojeni żołnierze, w mundurach jak z filmu, i zaczęli przeszukiwać pokój. Zaglądali do szafy i pod łóżko, ostukiwali ściany, kopali podłogę, a ja wciąż darłem się ze strachu, kiedy ludzie w mundurach przenikali mnie wzrokiem na wylot. Potem warknęli coś w niezrozumiałym języku i wyszli.

Krążyli dłużej po całym domu, byli na strychu i w piwnicy, aż w końcu wszystkie głosy skupiły się w kuchni. Wtedy zrozumiałem.

Zbiegłem na dół, moi rodzice, Babcia, Dziadek i Teresa już tam byli. Na środku kuchni stała Zuzanna Fartuskówna, do niej tuliły się Justyna i Janka, Antoni Piąty stał obok ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– To na pewno jakaś pomyłka, nikogo obcego tutaj nie ma – powiedziała Zuzanna.

– Kłamiesz! – krzyknął żandarm. – Ukrywacie Żydów!

– Nikogo nie ukrywamy, mieszkam tu sama, tylko... z dziećmi.

– Tak, tak, dzieci... O to właśnie chodzi. Sąsiedzi widzieli, jak przybiegł tu ten chłopak. A to kto? – żandarm wskazał na Antoniego.

– Mój syn, Antoni.

– Podobny. Masz szczęście, że podobny.

Żandarm nachylił się nad Justyną i wyciągnął rękę, jakby prosił ją do tańca. Dziewczynka stała nieruchomo, a on, zniecierpliwiony, wyrwał jej gałgankową lalkę, poma-cał chytrze i jednym ruchem wyszarpnął ze szmat łyżkę do butów. Poczułem ból w żołądku.

Dwaj żołnierze w filmowych mundurach wyprowadzili Zuzannę Fartuszkównę i jej dzieci przez werandę do ogrodu. W ciemnościach nie było ich widać, słyszeliśmy tylko pojedyncze wystrzały, jeden, drugi, trzeci, czwarty... I potem jeszcze jeden.

Po tamtej nocy w naszym domu wszystko wywróciło się do góry nogami: Babcia umarła, Teresa wyszła za mąż i wyjechała do Ameryki. Jest bardzo zadowolona. Bez przerwy gdzieś się przeprowadza i za każdym razem musi kupować nowe meble. „Tu jest zakaz starzenia się” – pi-sze Teresa i na dowód przysyła nam swoje zdjęcia, na któ-rych wygląda jak mała dziewczynka w śmiesznym kolo-rowym kapeluszu.

Dziadkowi zupełnie pomieszało się w głowie, więc ro-dzice oddali go do domu starców. Siedzi tam przez cały czas na krześle, ubrany jak do drogi, z walizką na kola-nach. Powtarza, że musi wrócić, ale chyba nie do nas, bo nas już wcale nie widzi, jakbyśmy nagle stali się zupełnie niewidzialni.

A potem Ojciec sprzedał dom.

– Wyprowadzamy się, panie Dwadrzewko! – po-wiedziałem, kiedy, jak zwykle, przyjechał na rowerze w

bladoniebieskim kombinezonie i przez werandę wszedł do kuchni. — Proszę zachować nas w swojej pamięci.

— Ja myślę, że ten dom najlepiej zachowa nas wszystkich — odpowiedział. — Tutaj dla każdego znajdzie się miejsce.

— Dla Teresy także? Chociaż jej na tym nie zależy?

— O tak! Dla Teresy także.

— I dla tych ludzi, którzy tu przyszli w nocy?

— Nawet dla nich.

— Panie Dwadrzewko — spytałem — czy ludzie są duszą domów?

— Tego to ja nie wiem. Chociaż... — zastanowił się — powiem ci w sekrecie, że moja własna dusza jest... jakby to powiedzieć? Ona jest... miejscem! Niczym więcej. Taki mnie spotkał los.

— Ten dom jest pańską duszą?

— Można tak powiedzieć.

— Chciałbym pana jeszcze o coś prosić, panie Dwadrzewko.

— Słucham cię, chłopcze.

— Kiedy... będzie pan opowiadał o naszym życiu nowym właścicielom, to niech pan im powie, że ten chłopiec w pokoju na piętrze, no wie pan, ten który krzyczy ze strachu, że będzie sam... To wcale nie jestem ja! Bo mnie już nic nie uwiera w gardle! Niech sobie umierają... wszyscy... kiedy chcą!

Ale to nie była prawda. Łyżka do butów nie zniknęła z mojego żołądka. Może tylko rzadziej mnie uwierała albo przestałem zwracać na nią uwagę. Możliwe, że ją polubiłem. W świecie podróży, rozstań, przeprowadzek i śmierci była czymś stałym i nieusuwalnym. Po latach

uznałem, że jest mną o wiele bardziej niż moje zmieniające się ciało. Być może jest moją duszą wsuniętą mi przez Boga, nie nazbyt delikatnie, gdzieś między szóstym i siódmym rokiem mojego życia.

Mówienie jest nawykiem rąk

Spotkałem raz garncarza dotkniętego perseweracją: powtarzał miękkie, bezkształtne dźwięki, w kółko i w kółko, aż do znudzenia. Rozmowa, wirując, wracała do punktu wyjścia (i trzeba było bardzo uważać, żeby nie dostać mdłości), lecz za każdym kolejnym obrotem garncarz wyciskał z dźwięków nadmiar materii, odkładał ją na bok, a resztę wyokrąglał, gładził, cieńczył, aż stała się słowami niewidzialnymi dla oka.

Na pożegnanie wytarł ręce i wręczył mi kolisty poemat, całkiem zgrabny, lecz brzmiący cokolwiek głucho, jak gliniany dzban.

Wsluchiwałem się także w gadulstwo kucharek: jak, nie mrugnawszy nawet powieką, zrywają nożem powłokę z przedmiotu rozmowy i, śmiejąc się, tną jego nagi, krwawiący miąższ na kawałki, by potem, w wielkim garze, pod przykryciem, długo ustalać zawieszony konsensus.

Motorniczowie zaś ślizgają się po zdaniach nieznośnie wizgliwą frazą, to przyspieszając zawadiacko, to zwalniając (choć zawsze jednym ustalonym torem), a potem nagle milkną, jakby coś sobie przypomnieli, i z syczącym westchnieniem otwierają usta dla nabrania powietrza.

Znałem cyrkowca, co mówił precyzyjnie i pewnie, jakby rzucał nożami. Lekko odchyłał się, mrużył oczy i rzucał słowa twarde i ostre jak noże – nie znał litości! Umierałem ze strachu, że kiedyś powie coś do mnie, ale po latach odkryłem z ulgą, że choć tak pewnie, to jednak zawsze trafiał gdzieś obok i precyzyjnie nie trafiał w sedno.

Pamiętam szklarza – ten słowa dmuchał jak bombki na choinkę. Znał dobrze wytrzymałość słów, więc dmuchał je tak, żeby nie pękały (kiedy mówił). Na koniec migotliwe kule zdobił ręcznie, gestem przyjaznym, choć odrobinę pustym, i wręczał wszystkim słuchającym, lecz kiedy w domu próbowaliśmy ozdobić nimi nasze skromne drzewko – pękały cicho, uwalniając pustkę.

Miałem też znajomego spawacza, co ogniem talentu łączył wszystko ze wszystkim w uciążliwe metafory. Na moich oczach stopił rękę żony z egzotycznym kwiatem (nieodwracalnie, jak się okazało), potem zakolem rzeki podkuł miasto jak podkrową, a mój stary, czarny płaszcz (prawda, że z dziurami) przytwierdził do nocnego nieba i tam go już zostawił, a ja nie miałem w czym wrócić do domu, choć trzymał mróz. Strach było go odwiedzać! Kiedyś się upił i krzyczał, że chce od nowa połączyć duszę z ciałem, bo to, co wyszło Wielkiemu Spawaczowi, to jest do prawdy kiepski spaw.

Rozmawiałem również z przygodną prządką – zobaczyłem, jak zgrabnie ze splątanych myśli skręca palcami równe, mocne zdanie. Mówiła bez przerwy, splatając jedno słowo z drugim, aż zrozumiałem, że będzie tak ciągnąć bez końca – a przynajmniej dopóty, dopóki wszystkich myśli z głowy nie wyprzedzie! Wpadłem w panikę, jednak

prządka, szczęśliwie dla mnie trafiwszy palcami na idee zbyt cienką – nagle urwała.

Czytałem gdzieś o Świętym Jurandzie, rybaka, który kazania swoje dział w sieć gęstą, żeby w nią zgarnąć duszyczki grzeszne, co na dno opadły – i żeby się żadna słowom jego nie wysmyknęła! W oktawę Wielkiego Piątku cudem duszę starego Dziurdziały ułowił, która, jak tłusty sum, od lat w mule dennym się tarzała, i już-już na światło zbawienia miał ją wyciągnąć, gdy wtem wrzeczono śmierci, serce Juranda przesywszy, nic żywota jego na drugą stronę przewlokło. Ale Jurand wcale tego nie zauważył i dalej dział, jak gdyby nigdy nic – a po śmierci jeszcze piękniej niż za życia!

Po tygodniu zebrała się rada parafialna, by orzec: jeśli umarł Jurand, to czemu gada? A skoro gada, to czy godzi się go pochować przed końcem kazania? „Kto mówi, bez wątpienia żywy jest! Lub za żywego uchodzi!” – stwierdził wikary. I jeszcze dodał, że głos mówiący to jest właśnie ta cząstka w człowieku na obraz i podobieństwo Boskie dana! Doktor jednak się upierał, że po ciele trzeba sądzić, a kiedy ciało nieżywe, to pochować. Tak się kłócili, aż ze Świętego garstka gadającego pyłu została, więc ją wsadzili do pudełka, postawili w zakrystii, jak kto ma chęć, to sobie słucha. Mówią teraz na niego: Święte Radyjo.

Nie mógłbym tutaj nie wspomnieć o mojej babce Kapiczioli. Życia w niej było na łokieć, lecz to jej wystarczyło, by swoje życie od początku przewinać, od nowa spleść i wygładzić. „ON mnie odcina od nici, więc zwijam, jak tkacz, moje życie” – rzekła niczym król Ezechiasz, a potem zebrała nas wszystkich wokół siebie i dawaj palcami

szypląc, drobić, wiązać, skręcać... A każdą chwilę trzy razy w rękę obróciła, nim przeminęła – żeby niczego nie uronić! Już nam się nieraz zdawało, że wątek gubi, że cienko przedzie, lecz cóż to? Ona znów przedziwo w rękę mocno trzyma i... węzeł małżeński sposobi! Tak od dziadów pradziadów każdego z nas wplotła, gdzie jego miejsce, dobra babka Kąpicziola. Na koniec guzem wszystko spięła i uspokojona – umarła.

Ja sam kilimek sobie barwny tkam przed zaśnięciem z tego, co mi za dnia w ręce wpadnie – tępy ból nogi, jakaś melodia, co nie chce się odkleić od ust, myśl bez znaczenia (ale zawsze przecież to myśl!) – wszystko to gęsto spletałam, mocno, porządnie, żeby mi się po snach nie rozlazło i nie straszycło po nocach.

Taki właśnie kobierczyk utkałam sobie pewnego wieczora, już-już miałem po nim miękko przejść na senną stronę, kiedy straszne pytanie zagroziło mi drogę: „Jeśli mówienie jest nawykiem rąk, to jak mówią ci, którzy... mówią? Którzy słowami się bawią, język mają za jedyne narzędzie, a ręce ich są różowe i miękkie, i żadną pracą nieutrudzone? Poeci, pisarze, mówcy i politycy – jakiego nawyku rąk można się u nich dopatrzeć, skoro...”.

Zdenerwowany zerwałem się z łóżka i, zarzuciwszy tylko płaszcz na piżamę, wyszedłem w ciemną noc zasięgnąć rady. Umówiłem się ze znajomym w zabytkowym szalecie obok Ogrodu Japońskiego. (Właściciel szaletu dał mi kiedyś klucz i pozwolił korzystać z tego niezwykłego miejsca po godzinach pracy. Umawiam się tam, najczęściej nocą, z przyjaciółmi, i siedząc w przegródkach, rozmawiamy do rana, nie patrząc sobie w oczy).

Usiedliśmy na klapach od sedesów, plecy oparliśmy na dolnoplukach. Znajomy trzy razy zapukał w drewnianą przegródkę – znak, że chce coś powiedzieć.

– Rola ręki w życiu – zaczął trochę oficjalnie – trudna jest do przecenienia! Nawet dla tych, co tylko mówią! Im też natchnienie z ręki spływa, bo miejsc najczulszych dotykając w sobie, to drażniąc je boleśnie, to łagodnie pieszcząc – z ręki wiodą rozkosz mówienia!

– I wszyscy tak? – spytałem zaniepokojony.

– Wszyscy! Bez wątpienia! No... może z wyjątkiem poety Vorgenasa.

– Tego wieszca? – upewniłem się.

– Mhm! Jemu podobno sama... Ręka Boska!

Wyczułem zazdrość w jego głosie.

Psychopomp

– Finis coronat opus – zagaił grzecznie.

– Na wieki wieków – odpowiedziałem (na wszelki wypadek).

Usta jak z gumy rozciągał mu tandetny uśmiech akwizytora po kursie korespondencyjnym (w istocie, jak się później okazało, był absolwentem tylko pierwszej lekcji gratis czegoś, co nosiło nazwę: „Jak sprzedać WSZYSTKO KAŻDEMU”).

– Interesuje pana jakieś ładne zakończenie? – zapytała i wsunął stopę między drzwi.

– Zakończenie? Ale czego? – nie mogłem zrozumieć, bo zagapiłem się na jego nogę w moim mieszkaniu.

– Zakończenie życia – stopa wierciła się niespokojnie.

– Tylko że ja się wcale nie wybieram... – tłumaczyłem się (głupio).

– Ale dobry koniec może pan sobie sprawić zawczasu – będzie jak znalazł!

– No wie pan... Nigdy dotąd nie myślałem poważnie o... śmierci – próbowałem zamknąć drzwi, ale on nagle się zdenerwował:

– A kto tu mówi o śmierci?! Mnie śmierć nie interesuje! MNIE interesuje wyłącznie zakończenie – FINIS! Bo to koniec wieńczy dzieło, a nie śmierć!

– Myślałem, że to jedno i to... SAMO! – kopnąłem jego stopę, jak piłkę, w nadziei, że odskoczy za próg.

– O, bynajmniej! – skrzywił się boleśnie. – Umrzeć to byle pętał potrafi, ale koniec... Oooooo! – zajęczał. – Koniec dany jest tylko nielicznym!

Szybko opanował ból, a bladuróżowa guma na jego twarzy rozciągnęła się (choć to wydało mi się niemożliwe!) jeszcze szerzej:

– Bo ludzie tak sobie żyją, proszę pana, jak gdyby NIGDY NIC! Coś tam sobie snują, płaczą, mierzwią – wątku w tym żadnego nie uświadczysz ani wzoru, darmo obrabka szukać! Włókna losu kłębią się uśpione jak pęk kudłów na kręzlu kołowrotka, których żadna ręka dotąd nie wyprzędła, bo każdy chciałby od razu życie łapami chwycić za futro i czesać... – włożył rękę do mieszkania i coś próbował nią chwycić.

– Cesać? – zdziwiłem się.

– Cesać kasę! Dopiero jak przychodzi... CODO-CZEGO... Oooooo! Wtedy płacz: a że tak z nagła udarte to życie strzępi się i rozłazi, końcem rozprutym straszy jak, za przeproszeniem, jakiś... frędzel! Sypie się z niego jak z dziurawego wora – wstyd rodzinie zostawić! A zabrać ze sobą – nie uradzisz! A przecież dziadowie nasi żywoty swoje cięli z szerszedronu, cycu, kamlotu tak cienkiego, że nieskończoność dało się przez nie zobaczyć! Duszę przędzy troskliwie wijurką oplatali, aby ich życie mocne było, lecz i wiotkie zarazem, jak woda, co się ostrych kamieni nie lęka. A wszystko ładnie wykańczali czte-

rograniastym chwościkiem, lankotką, czy, ot, murcypanowym galonkiem!

– Każdy plecie, jak umie! Jednemu wyjdzie arras, innemu... powróż – rzekłem ponuro.

– I dlatego właśnie potrzebny jest ktoś, kto życie w garść mocno zbierze, fibry żywota rozezna, rozplącze, wątek umykający w porę pochwyci, na palec wszystko nawinie i...

– I... – nie rozumiałem – co?

– I zrobi supeł!

Wyjął z walizki sznur, dla demonstracji supła, i próbował zarzucić mi go na szyję (ale się uchyliłem).

– Dlaczego supeł? – zainteresowałem się.

– Bo tylko w suple spełnia się nasz los! I odkupienie od wiotkości sensu! Bo supeł, jeśli jest mocny, zbiera chaos w jeden punkt – i trzyma! A przeciwieństwa łączy w wielobarwny – kutasik! Dlatego, kto dobrze zasupłany, ten już się tak łatwo nie roztarga i pewność ma, że w jednym kawałku na Sądzie Ostatecznym się pojawi. Bo jakże tak duszą i ciałem na zmartwychwstanie iść, jeśli los w rozsypce? I powiem panu w tajemnicy – rozejrzył się, czy jesteśmy sami – dobry supeł może unieważnić najmarniejsze początki, uszlachetnić najlichsze tworzywo, wyrównać najgorszy spłot... okoliczności, bo przecież... – uśmiechnął się radośnie – WSZYSTKO DOBRE, CO SIĘ DOBRZE KOŃCZY! Żyjemy wielkością ostatniej sekundy, czy nam się to podoba czy nie! A bez supła życie jest tylko garścią paku, którymi się dni dziurawe obtyka. Żywoć źle podwiązany sensu dobrze nie trzyma i popuszcza co krok! A na tamten świat tak bez sensu iść to wstyd. No bo jak zapytają, to co odpowiedzieć?

– No właśnie! – przestraszyłem się. – Co?

– Ot, niedawno... – psychopomp napierał na drzwi barkiem – przychodzi do mnie chłopczyzna, końca prosi. „Pokaż mi, mój szczygliku – mówię – co tam masz, a ja już ci koniuszek pięknie wysztafiruję”. On płoni się jak arbuż, a w rękę wstydliwie trzyma skurczony, splątany, z wytrzępków zбитy w jedną masę – targaniec!

– Jaki znowu targaniec? – spytałem zażenowany.

Spojrzał na mnie z pogardą i warknął:

– Filc! Spilśniały i sztywny, któremu, dalibóg, szpadlem grabarskim tępy koniec można by wykroić. „Na ornat biskupi byłeś krojony, szczygliku luby, a takeś sobie życie silcował?” – mówię do niego i w głowę zachodzę, jaki tu nadać kształt ostateczny, jakie znaczenie, w jakiej całości na drugi brzeg go przeprowadzić! Jak wyskubać, choćby ze snu, jeden wątek sparciały, co fastryguje dzień z nocą, jak wycierlić łyko sensu z pustej łodygi lat, kłaczek chwil, co z wiatrem płynie, złapać, w nieć skrócić – cokolwiek! Bo niewiele mi trzeba, a czasem to, doprawdy, byle co!

O, weźmy dzisiaj rano: staruszka do mnie przyszła, wiekiem zdeptana, grosiki w rękę trzyma, szczerowinka, i płacze: „Ty się ulituj nade mną, paneńku! Patrzaj, wszystko gotowe: sukienka czarna w szafie, w pudełku buty i pończochy, plac pod brzozą, trumna ze srebrnymi koronkami i wódka na stypę. Ludzie już opłaceni, na wszystko papier mam! Wszystko gotowe, żeby ciało z gustem odprawić, ale wczoraj... – staruszce głos zadrzął. – Wczoraj mamusia do mnie przyszła. We śnie. Groźnie tak na mnie popatrzyła i powiedziała: »Ciało, Agnieszko, z gustem odprawiasz, szykujesz się jak na wesele, a twoje życie cał-

kiem nieodprawione«. »A co tu jest do odprawiania, mamusiu? – pytam. – Taki mi się kawałek życia dostał jak ugór piaszczysty: sto lat możesz na nim harować, a on ci się plonem nie odplaci. Chłop pijak był, po pijanemu tylko patrochy pięścią poobijał, nie patrzył, czy mnie, czy dzieciom... Które wyżyło, zaraz wódką zmarnował... Ech, mamusiu, co tu jest do odprawiania«. Więc się ulituj nade mną, paneńku! Ja ci zapłacę, a ty mi obrąbek żywota spraw, nie żeby suty wielce, nie! Rabatą otocz dni moich jałowe zagonki – może się przez to zdadzą kwitnącym ogrodem? Gdzie dziurawo – poceruj... Ulituj się nade mną, bo mi mamusia spokoju nie da na tamtym świecie!”.

– Staruszka mnie nie interesuje! – chciałem zamknąć drzwi.

– Oczywiście! – uśmiechnął się przeproszająco. – Dla pana mam coś specjalnego!

Wyciągnął łom i włożył pod zawiasy.

– Myrna z Ohio – zaparłszy się nogami, wyważał drzwi – była maleństwem, gdy na spacerze w parku – zgubiła swoje przeznaczenie!

– A któż, do licha, pozwala dziecku bawić się czymś takim!? – krzyknąłem, drzwi trzymając mocno, jakby to był mój własny los.

– Szukano wszędzie – kamień w wodę! Nawet detektyw, pan Cole, też nie mógł go znaleźć. Tylko sąsiadka, co była raz z wycieczką w Las Vegas, twierdziła potem, że je widziała w rewii, w trzecim rzędzie, drugie od lewej, golu-sienieczkie... nie licząc butów. Ach, co za wstyd! Bo Myrna już na piękną i szczęśliwą dziewczynę w Ohio wyrosła: dwadzieścia dwa lata, mąż hydraulik i czworo dzieci. Płakała Myrna, płakała przez tydzień, lecz potem – trudna

rada — spakowała walizkę i podążyła za swoim prawdziwym przeznaczeniem do Las Vegas! Nie muszę panu mówić, jaka to była tragedia. A wystarczyło wezwać mnie w porę... — natężył się — A ja bym już tej Myrnie taki los ukręcił, jak uprzęż mocny, żeby się z niego do końca życia nie zerwała!

— No, a jeśli ktoś, na przykład ja, niczego o sobie powiedzieć nie umie? Bo może niepotrzebnie pan się tak męczy? — spytałem patrząc na jego wysiłek.

— To niemożliwe! — przerwał na chwilę i wytarł pot. — To się nie zdarza, żeby tak nic zupełnie! Z każdego da się coś wysupłać — jak mawiał kapitan Priczkin — choćby siłą! Wystarczy tylko dobrze rozmowę zadzierzgnąć, na początek.

Taki, weźmy, pierwszy z brzegu, Lonia Sztajsman: życie jego niewyszukane było, jak onuca, i jak ona mało wygodne, bo onuca z natury swojej w uciśnieniu trwa między nogą a butem, zbierając w sobie co najgorsze, od każdego z ciemniejszych. Nie inne było życie Lońki i pewnie takie by pozostało na wieki, gdyby nie wspomniany przeze mnie kapitan Priczkin, który zachęcającym ciosem w twarz zaprosił Lońkę do rozmowy na temat Lońkowego życiorysu. Nie uwierzy pan — bo i ja bym nie uwierzył, gdybym tam przypadkiem nie był! Nie raz, nie dwa, ale osiemdziesiąt sześć razy powtórzył Sztajsman swój życiorys! A z początku, tak jak pan, upierał się Lońka, że nic nie wie, że nic szczególnego w jego życiu się nie wydarzyło! Jednak — tu psychopomp zamachnął się pięścią w sam środek drzwi — od ciósów Priczkina coś w Lońce pękło! — nie tylko w Lońce, bo i akwizytor dziwnie pobladł. — Jakoś się przełamał: chlusnęło, buchnęło, barwą żywą się zalało życie Lońki! A kiedy

już osiemdziesiąty piąty raz mówił o sobie, to aż go oczy bolały od tych kolorów, kształtów bajecznych, niezwykłości, od których skrzyła się jego, Łońki Sztajsmana, biografia! – psychopomp skulił się z bólu i wycofał na korytarz.

– Co mi pan radzi? – spytałem.

– Najlepiej... zacząć od początku! – pozbierał się i chwycił trzonek łomu, co tkwił pod zawiasami. – Urodził się pan...

– Tak – odrzekłem śmiało, ale co do tego akurat nie miałem wątpliwości.

– To już coś! Zresztą... powiem panu szczerze: niektórym to wystarcza i nie gonią już za innymi sukcesami! Co jeszcze?

– Nic więcej... To chyba wszystko.

– Nigdy pan nie układał tych tandetnie cyzelowanych „siwi”, „rezjume”, „dosje”, które rozsyła się po świecie z nadzieją na cudowną odmianę losu?

– Nie.

– A historia? Milczy o panu historia... chorób, ilustrowana kolorowymi wykresami gorączki i zdjęciami z wnętrza ciała?

– Milczy.

– Żadnych rachunków, poręczeń ani weksli?

– Nie.

– Żadnych... – wbił we mnie wzrok – debetów?

– Żadnych.

Jak porażony osunął się na ziemię.

– To niemożliwe! – wyszeptał. – W takim razie – okradziono pana! Może kręć się tu gdzieś mężczyźni zażywający pańskiego losu? O fałszywych biografiami, zbyt ciasnych lub zbyt obszernych jak na ich osobę? Albo... –

oślino go — przedmioty! Tak, przedmioty w zupełnie nie-stosownej dla nich kondycji! Słyszałem o cudownym kamieniu z Lourdes, który pewna kobieta nosiła między pierśiami i każdego wieczora całowała na dobranoc...

Nawet mi się spodobał taki los, ale psychopomp przyjrzał mi się i dodał szybko:

— To tylko hipoteza!

— W takim razie na darmo się pan trudzi — rzekłem mu z przekonaniem. — Moje życie jest puste i nic pan z niego nie wydzierga.

— Ach, proszę tylko nie upadać na duchu, ja uwielbiam trudne przypadki!

Na przykład wczoraj: wezwano mnie do przypadku nierokującego najmniejszej nawet nadziei! Powiadam panu: czego nie dotknę — w rękach się rozłazi! Gdzie nie chwycę — rwie się pod palcami! Kompletny rozkład egzystencji. A najgorsze, że jeden kawałek do drugiego zupełnie nie pasuje, jakby kto setkę najróżniejszych losów w jednej kupie młócił! Wprost nie do uwierzenia: dobroczynność i zbrodnia, proszę pana! Najwyższe poświęcenie z najniższych pobudek! Uczciwość — ze strachu, prawdomówność, wstyd powiedzieć — z lenistwa! A że był to człowiek ogólnie szanowany, wielka, ho, ho, figura, to z byle jakim KOŃCEM odprawić się go NIE DAŁO... — wyjąwszy koniec łomu z drzwi, schował go ostatecznie do walizki.

Otarł pot z czoła, powachlował się połami marynarki, przez chwilę zdawało mi się, że chce odejść, więc zapytałem:

— I co pan wtedy zrobił? — tak dla podtrzymania rozmowy.

– Najpierw ten, pozał się Boże, organoleptyczny zacier... – skrzywił się pogardliwie – tę mglistą pulpę nazywaną „życiem”, przepuściłem przez... słowa! Zwyczajnie, żeby odparować to, co ulotne i niewidzialne, a potem, uwolniwszy z bezkształtnej miazgi całą moc ducha – skropić zeń sens! Przejrzysty, wonny i mocny!

Wyjął z kieszeni butelkę i wtedy zobaczyłem, że mówi prawdę.

– Niesamowite! – wyraziłem swój podziw.

– Ale... – ostrzegł – sens szybko się ulotni, jak spir... jak duch, jeśli go pan zaraz głosem, jak łykiem, nie uwikła, nie spęta opowieścią, fabułą nie zaburda, nie zawęźli słowami, raz koło razu. A im lepszą opowieść pan uwije, tym lepszy będzie pański los! To od mówienia życie dobrze się klei i, jak opowieść, wtedy jest dobre, kiedy wartko płynie, rytm ma i motyw uchwytny, a koniec na właściwym miejscu. Dlatego każdą chwilę należy sobie co dzień przepowiadać, żeby się nie przemknęła sekunda bez imienia, dla której słów brak! Czas rozciągnięty trzeba językiem zebrać, ubić, zagęścić, a gdy już całkiem zeszywnieje, w imadło oddechu go ująwszy – wyslizgać frazą! Jeśli gdzie haczy – tezą śmiałą obstrugać! Jak porowato – wymendzić teorię, co dziury zatka. Jeszcze obelgą wygładzić i bluzgnąć gdzieniegdzie, by lśniło. A potem wszystko mottem ozdobnym spiąć jak fermaturą... I oto proszę! – podsunął mi butelkę pod nos. – A wszystko tanio! – dodał.

Wpuściłem go do mieszkania. Przez tydzień zgodnie wyciskaliśmy esencję z burej pulpy moich dni, jednakich i bezkształtnych (szczególnie odkąd jestem na rencie). Psychopomp sens – destylat życia – wikłał zaraz w sło-

wa, żeby się zbyt szybko nie ulotnił. Bez końca plótł, a życie moje, pomiędzy Końcem a Początkiem rozpiąwszy, kolorem delikatnie cieniował, dumał nad deseniem, nic ostrożnie wplatał między równo napięte dni osnowy. Duszę mi troskliwie wujurką oplatał, żeby była mocna, ale i wiotka zarazem, jak woda, co się ostrych kamieni nie lęka. A na ostatek supel zrobił czterościanasty z chwościkiem, jak obiecywał.

Odszedł, kiedy w mieszkaniu nie było już niczego (sensownego). Nawet się ucieszyłem. Zmęczony położyłem się na kanapie i westchnąłem z ulgą: „Nie znam przyjemniejszego uczucia niż to, że wszystko już się skończyło”.

I to był mój koniec, najlepszy z możliwych: szybki i, co najważniejsze, mocny!

Żeby mi starczył na całą wieczność. Żebym się nie roztargał, jak jakiś frędzel!

Siostry

Martyja po kościołach biega, świętym obiecuje, diabłom się odgraża, a i tak wszystko na nic: Natkę gorączka taka pali, że aż z bólu krzyczy i chłodu woła na rozpalone ciało — a jak ona bluźni przy tym!

A przecież raz już tak Martyja biegała jak wychudzona szkapina i ugadywała się z proboszczem, pamiętacie? Wtedy, co w Natkę diabeł wstąpił i grubym głosem mówiła. Ledwie jej Martyja wlała w usta wody z Lourdes i Natka zaraz diabła oddała — czarny dym z ust jej wyleciał jak z komina!

A teraz dziesiąty dzień skonać nie może — mówią, że śmierć jej nie chce...

Mówią, że Natka śmierć odpędza swoim niewyparzonym pyskiem, a śmierć, jaka by nie była, swój honor ma! Tak samo odpędzała Natka kawalerów Martyji. Niewiele ich było, ale niech no który do Martyji przystąpił, to Natka zaraz: że ten taki-owaki, a za tamtego nie idź, bo ci uszanowania nie da; a że Antek, co niby zeza miał, jak na Pana Jezusa patrzy, to Matkę Boską widzi; a garbaty Felek kapliczkę ze sobą na plecach nosi... I tak w kółko! A kto ślepego Heńka z domu przegonił? Rok do Martyji chodził, żenić się z tobą będę, mówił, ale wpierw daj mi na szklane

oko, żebym do ślubu z okiem poszedł, jak się należy! No to mu dała Martyja trochę grosza, a on, z nerwów chyba, wszystko przepił, oka sobie nie wsadził, tylko pod oknami Martyji chodził i płakał z żalu, aż mu Natka wiadro szczyn na głowę wylała.

Nie dała Martyji za mąż wyjść, a sama przecie w domu pięciu minut nie usiedziała. Na Kolejówce była z Natki pierwsza tancerka, a tańczyć to ona umiała nowocześnie: i „na wykroki”, i „z drabinką”, i „z kropką”. Tylko że honoru żadnego nie miała. A potem do Karmisowej latała psuć się, bo co się z którym wytłukła, to zaraz w ciąży była. Ale raz to się zrobiło za późno i Karmisowa się bała. Wtedy Natka do domu wróciła, mydła nagotowała i dawaj se tam wlewać. Potem herbaty z tytoniu zrobiła, wypila i z pieca zaczęła skakać. Martyja, jak raz na nieszpór poszła, wraca, a ta cała we krwi! Bliżej patrzy: a ona chłopaka urodziła! Zaraz go Martyja z wody ochrzciła — a na imię mu dała Waldemar — potem w firankę dzieciaka zawinęła i spaliła w piecu. A Natkę ledwo w szpitalu odratowali.

— Cóż robić? — wzdycha tylko Martyja. — Taka się już ulęgła gorąca!

A teraz ze śmiercią tańczy, a śmierci widać podoba się ta zabawa, bo przestać nie chce...

Martyja po wsi biega, rady szuka i zmiłowania dla Natki. Noc ją z domu wygania i noc przygania. Ludziom wokół pomaga, uroki odczynia, a sól świętej Agaty stale nosi w staniku, bo strach pomyśleć, co by się stało, gdyby nie Martyja, kiedy przez Bagoniową pół wsi się paliło! Zajął się od telewizora dom Bagoniowej, a ona, zamiast w pole uciekać, leci do wsi jak głupia, a przecie każdy wie, że

ogień goni!!! Szczęściem Martyja już idzie przez wieś, so-
lą ze stanika sypie i mówi:

– O, święta Agato! Broń nas!

I zaraz ogień wygaś.

A pamiętacie, jak u Bartków diabeł do pokoju przylazł?
Stukał wazonem, latał po obrazach, a raz to stanął pod
drzwiami i pierdział. I tak trzy dni. Aż przychodzi Martyja i
pyta:

– Co, już jesteś, diable?

A ten jej na to hardo:

– A jestem! Jestem!

A ona jak drzwi nie otworzy, jak nie chluśnie święconą
wodą, jak nie krzyknie:

– W imię Ojca i Syna!

Tylko wybita szyba w lufciku po diable została. I smród.
O tak, Natka nigdy nie była taka wypracowana jak Martyja,
to chociaż teraz musi sobie na śmierć zapracować!

– A niby czemu? – spytała stara Frączkowa, co aku-
rat z chlebami do domu szła.

– Bo to nie wiecie? Natka na wymarcu, klnie jak
szewc, chociaż trzeźwusienka. Martyja tylko świece pali...

– ...a i tak nic z tego nie będzie! – tu się Frączkowa
uśmiechnęła i postawiła torby z chlebami. – Bo przez Ko-
redową to wszystko!

Zdziwiłyśmy się bardzo, ale Frączkowa nie mogła sło-
wa pisać, bo była przysięgnięta przed Bogiem.

– Nic z tego nie będzie! – uśmiechała się tylko tajem-
niczo. – Nic! Zupełnie!

Dopiero jakeśmy chciały do domu iść, to nam Frącz-
kowa wszystko powiedziała, tylko kazała na Pana Jezusa
przysiąc, że nie wygadamy.

– Bo Natka do Skarbówki doniosła na Koredową, że ta potajemnie oczka łapie! Wściekła się Koredowa, do mnie przysła, złe oczy przymrużyła – a takie się jej one dziwne zrobiły nagle jak u kozła! Patrzę: do pieca podchodzi, drzwiczki otwiera, nachyla się i mówi: „Żeby ta Natka, suka jedna, za tę moją krzywdę, skonać nie mogła”.

– Oooooo! – jęknęłyśmy jak nas tam było pięć.

– Wiatr słowa Koredowej w komin wessał i na świat wypuścił. I tylko mi się słyszało, jak coś chichocze przy tym! – Frączkowa wzięła chleby i pognąła do domu.

Pięć minut nie minęło, a już Martyja leci przez wieś, we drzwi Koredowej wali pięściami i krzyczy:

– Wszystkiego już próbowałam: i świętej wody, i gromnic, modlitw, zaklęć, wszystkiego, a śmierć to ją ku sobie przyciąga, to odpycha, wahaniem swoim tylko bólu jej przydając! Widać przekłętę niechętnie bierze, więc wy Natce przebaczenie, Koredowo! Ona przecież cierpieniem swoim już wam się wypłaciła, swojego bólu ostatni grosik wam oddała, to ją uwolnijcie, bo ludzką rzeczą jest wybaczać, kiedy pora!

Mówią, że cisza taka w całym domu się rozległa, jakiej ucho ludzkie dotąd nie słyszało! Potem słyhać było, jak Koredowa do kuchni człapie, drzwiczki zgrzytliwe od pieca otwiera i coś tam do nich mruczy. Wiatr się zerwał nad miasteczkiem, aż babom fartuchy załopotaly.

I zaraz potem Natka jak nic umarła.

Życiorys (Rozpostarta dusza Salomona Finka)

Jeszcze zanim się urodziłem, z rzeczywistości wypompowano czas, ale nikt tego nawet nie zauważył.

Historia bez czasu zastygła nieruchomo i wtedy okazało się, że ma całkiem fajny środek: oczyszczona z „zewnątrznych pozorów” i „fałszywej różnorodności” przypominała szkielet królika, który oglądałem na lekcjach biologii: bielutki, suchy, naukowy — i do królika w ogóle nie podobny.

Oślepiająca jasność biła ze skrywanego dotąd wnętrza historii i mój Ojciec wyraźnie się zakochał:

— Oto organizm — mówił z zachwytem — w ostatnim stadium swojego rozwoju! Zobacz, jaki jest teraz przejrzysty, logiczny i trwały!

W dodatku Ojciec twierdził, że królik lada moment ruszy z miejsca i podbije cały świat (jak tylko uporamą się ze zniszczeniami wojennymi) — ja jednak miałem pewne wątpliwości. Widziałem to, czego Ojciec nie chciał zobaczyć: Królik przykręcony był mocno do podstawki.

Kiedy się urodziłem, wieczność obowiązywała już na całego. W naszym świecie bez czasu każda zmiana budziła paniczny lęk. Nic nie mogło się starzeć ani psuć, więc na wszelki wypadek wytwarzano rzeczy stare, koślawe i

popsute od urodzenia. To było genialne rozwiązanie. W dodatku, jak na Arce Noego, przetrwał tylko jeden egzemplarz z każdego gatunku i on rozmnażał się w nieskończoność, opanowując całą naszą ziemię po Potopie: kłamki, okna, domy, buty na lato i buty na zimę były wszędzie jednego rodzaju i kształtu, więc podróżowanie napełniało ludzi dziwnym uczuciem, że stoją w miejscu. Zanim się połapaliśmy — przestrzeń zniknęła razem z czasem. Istnienia koloru w ogóle nie mogę sobie przypomnieć.

Poruszenie w naszej kamienicy wywoływały pachnące kartonowe pudła przesyłane z okolic, gdzie czas najwyraźniej płynął sobie, jak gdyby nigdy nic, mnożąc byty ponad ludzką potrzebę. Ze zdziwieniem i zachwytem kontemplowaliśmy gumy do żucia w różnych kolorach i rajtuzi, które w dodatku, z pudła na pudło, stawały się coraz bardziej rozciągliwe. Każdy z nas doświadczał wtedy dziwnego niepokoju, a pani Dziduszkowa na widok nylonowego futra przeżyła nawrócenie o religijnej mocy („Jak mogłam żyć bez czegoś tak... boskiego!”). Jednak mistyczne zjednoczenie z futrem okazało się dla pani Dziduszkowej zupełnie niemożliwe („Nie w TYM świecie!”), więc dzięki surowej ascezie (ziemniaki, kefir, żadnych wczasów nad morzem) nałożonej na rodzinę, pani Dziduszkowa osiągnęła Absolut, by tak rzec: pars pro toto, pod postacią małej kudłatej czapeczki z plastikowego włosa.

To wszystko jednak tylko nasilało lęk przed osunięciem się w czas. Na szeroką skalę balsamowano ludzi i myśli, powtarzano do znudzenia hasła o „Wieczności między narodami” i „Walce o wieczność”, więc generalnie nic nie gniło. Byli wszak tacy, co mimo surowego zakazu przechowywali w ukryciu pewien zapas czasu, co

parę lat próbując zmienić coś w Króliku. Ale może mieli tego czasu za mało, a może Królik zbyt mocno trzymał się podstawki, dość że trwał i co najgorsze – pokazywał ludzką twarz!

Nie rozmawialiśmy nigdy o tym, co było (trochę ze strachu, że ktoś pomyśli, iż za czymś tęsknimy), ani też o tym, co będzie – przyszłość była metaforą terażniejszości („Tak jak teraz, tylko lepiej”). Poza tym ktoś mógłby pomyśleć, że na coś czekamy.

Mieszkałem w Mieście, ale o nim też nie mówiliśmy. Chociaż dobrze działało, używaliśmy go na co dzień z pogardą – było towarem od politycznego pasera. Dostało nam się z niewiadomego powodu, bo przecież nikt o nie nie prosił. Na dodatek poprzedni właściciel miał kryminalną przeszłość i odszedł w niesławie, a teraz czuł się nadspodziewanie dobrze, więc staraliśmy się nie zapominać, że w każdej chwili może powrócić i zabrać nam Miasto.

Mieszkałem na południu, w blokach. Tutaj Miasto zupełnie nie rzucało się w oczy, bo, rozebrane do ostatniego kawałka, odjechało gdzie indziej, gdzie zbudowano z niego stolicę państwa, w którym mieszkalem – nam zostały tylko wryte w ziemię linie papilarne zardzewiałych szyn tramwajowych, brukowanych ścieżek i połamanych krawęźników. Ale nikt się tym specjalnie nie przejmował: moi dziadkowie i rodzice przywieźli sobie w głowach własne miasta i mieszkali w nich aż do śmierci – a pewnie jeszcze i potem.

Pamiętam dobrze, jak siedząc przy kuchennym stole, całymi godzinami błędziliśmy po ulicach „z głowy” i w strugach opowieści zdzieraliśmy podeszwy słów. Miękką

głoska „lji” raz po raz, jak krople wody, spływała na Miasto, zmywała do cna jego obraz, a wtedy mogliśmy dojrzeć ozdobioną aniołami kamienicę firmy bankierskiej Hausner&Violand z Brodów, i kamienicę Czarną, i tę ze skrzydlatym lwem weneckim nad portalem siedziby Massarich, agentów handlowych republiki. Tramwaj zgrzytał na „wykręcie Badeniego” i wjeżdżał w Łyczakowską ulicę. Tam wszystko było prawdziwe: prawdziwi bohaterowie, prawdziwe zimy, prawdziwa woda i powietrze – my tutaj byliśmy tylko częścią fatamorgany, która przywędrowała nad Miasto i osiadła na nim, jak mgła.

– Jesteśmy nowymi Żydami! – mawiał Dziadek. – Jesteśmy obcy miejscu i wszystko wozimy ze sobą w głowie.

Zazdrościłem dziadkom i rodzicom: mieli swoje opowieści i wiedzieli, kim są, za to ja mieszkałem w niezrozumiałych dekoracjach do nieznannej sztuki, której tekst zabrali dawni aktorzy pewnej mroźnej styczniowej nocy. Chciałem mieć własną intrygę, skrojoną na mnie i na Miasto, żebym je mógł zabrać ze sobą i tęsknić za nim, i opowiadać o nim dzieciom i wnukom, i mieszkać w nim do śmierci, a nawet później, i wiedzieć, jak wygląda prawdziwa zima, woda i powietrze! Chciałem to wszystko mieć, lecz kiedy skończyłem siedemnaście lat, wydarzyło się nieszczęście: pewnej nocy, za jednym zamachem, zważyłem w istnienie Boga, Królika i Miasta. Mój dojrzewający, totalitarny umysł domagał się bezwarunkowych dowodów, lecz Bóg z zasady ich nie udzielał, Królik, zajęty kosmetyką swojej ludzkiej twarzy, nie miał dla mnie czasu, a Miasto milczało – jak zawsze. Ojciec, co prawda, bredził coś o prehistorycznych plemionach, które w tym

miejscu robiły koła i miały równo obcięte blond grzywki, ale go wyśmiałem.

Byłem sam. Zupełnie sam na świecie, którego nie było.

Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym przypadkiem w jakimś starym pamiętniku nie natrafił na wzmiankę o Armandzie-Louisie de Gontant duc de Biron, który w roku 1774 przejechał Miasto ze wschodu na zachód. To było coś! Potem dowiedziałem się jeszcze, że Wielki Poeta spędził w Mieście noc w drodze do wód, a kilka lat później jego serce w słoju z formaliną odbyło drogę w odwrotnym kierunku, podążając na własny pogrzeb. Przez Miasto przemknął jeszcze jeden Wódz, dwóch Cesarzy, Filozof i kilka wrogich sobie Armii – Miasto, zatem, istniało bez wątplenia! Nabrałem jednak podejrzeń, że w istocie mieszkam w miejscu, które należy wyłącznie przejechać! Z dnia na dzień rzuciłem szkołę i – jak Armand-Louis de Gontant duc de Biron – postanowiłem udać się niezwłocznie na Zachód. Do tego jednak potrzebowałem pieniędzy i wtedy los zetknął mnie z Grobelskim.

Nie był stąd, przywlokła go za sobą ostatnia armia, która przejechała przez Miasto, handlował przedwojenną porcelaną, a mnie wynajął do jeżdżenia po wsiach: wyciągałem od chłopów za bezcen, co się dało, kradłem dzbany z cementarzy, łakomiłem się nawet na psie miski i poidła dla kur. W domu godzinami czyściłem wszystko, ostrożnie wydobywając barwy i ornamenty spod warstwy ubitego brudu, a potem z dumą wręczałem Grobelskiemu. Brał zdobycz w ręce i robił to, co zawsze napełniało mnie odrazą: nie sycił oczu szklistą urodą bieli albo przeziernym kształtem, nic go nie obchodziły cienkości, barwy, kruche korony filizanek i wazonów – nie! Ledwie ich dotknął, a

już przekręcał je na wspak, odwracał, wywijał do góry nogami i tam wypatrywał znaków, wiele sobie po nich obiecując. Było coś bezwstydnego i obraźliwego zarazem w odsłanianiu tego miejsca u podstawy rzeczy, ukrytego w cieniu przed ludzkim spojrzeniem, więc pomyślałem, że Grobelski nie lubi przedmiotów, którymi handluje, że nimi gardzi, bo jest tu obcy. Nie to co ja – ja byłem stąd, tak samo jak filiżanki ze złotym napisem „Zum Geburtstag”.

Z zemsty za upokorzenie naczyń, któregoś ranka, po nocnej ulewie, zaprowadziłem Grobelskiego na Górę usypaną ze śródmiejskich gruzów i z radością patrzyłem, jak spada na niego szaleństwo: Góra odsłaniała mu znaki, o jakich nawet nie śmiał marzyć: malowane kobaltem skrzyżowane miecze i monogramy królewskie z Meissen, odciskane tarcze herbowe z Nymphenburga, prywatne sygnatury bezimiennych malarzy porcelany. Nie istniały już żadne kształty narosłe na tych znakach, rozpadły się w pył mleczone koronki figurek, szczepły reliefy i kolory, a razem z nimi znikło całe to kłopotliwe, onieśmielające, bezużyteczne piękno – i teraz Grobelski był naprawdę szczęśliwy! Czołgał się w rozmiękłej ziemi, cały oblepiony błotem jak chthoniczne bóstwo, wydłubywał z Góry fabryczne stemple, podsuwał mi pod nos te swoje cuda, mamrotał cenę, a potem z namaszczaniem chował do torby. Z czasem dorobił się niezwykłej kolekcji, siostra uszyła mu dziwaczny klaser z flaneli i Grobelski prezentował swoje znaki z czułością, jakiej nigdy u niego nie widziałem.

Którejś niedzieli (słowo „niedziela” nie odnosiło się w żaden sposób do czasu, lecz oznaczało dzień wolny od pracy, leżenie na kanapie i rosół na obiad) usłyszałem zza

okna podwójnie zakręcony gwizd – znak, że Grobelski ma dla mnie robotę. Chodziło o „skorupy”, ale tym razem było to coś naprawdę dużego, a ja miałem zwyczajnie „wstawić bajer” właścicielowi, żeby je sprzedał za grosze.

– Tylko żebyś się przed nim nie wyzdradził! – ostrzegął Grobelski. – Bo go spłoszysz!

– A kto to jest? – spytałem.

– Szkop. Stary, na pozbyciu leży, sam w mieszkaniu, na Północy Miasta!

Nie bywałem w tamtych rejonach. Ja byłem paniczem z bloków, wybrańcem, który ubikację miał w mieszkaniu, a zimą chodził w slipach po rozgrzanych pokojach (próba zakręcenia kaloryfera kombinerkami groziła zalaniem pionu). Na Północy, w domach jak pałace, mieszkały dziady z dziada pradziada: alkoholicy, ich konkubiny i dzieci konkubin. W wysokich na cztery metry pokojach palili w piecach parkietem prosto z podłogi, wielkie okna zabijali deskami, szczali na marmur i secesyjne kafle w bramach. Słyszałem o tym straszliwe historie, lecz mówiąc szczerze, nigdy tam nie byłem. Teraz szedłem ostrożnie, dwa kroki za Grobelskim, rozglądając się w koło nieufnie.

Nagle stanąłem, zamrugałem oczami, jakbym budził spojrzenie śpiące od lat.

Poczułem ból: wzrok zerwał się z uwięzi, pognał na osłep i w okamgnieniu rozdał balkony, kamienne mięśnie siłaczy i piersi kobiet; wygiął w zaułki fasady domów, strzelił wieżami, skakał po gzymsach jak wariat, bębnił w szare łuski dachówek.

– No, chooo! – ryknął Grobelski. – Długo beesz tak stał?

Długo? Mój wzrok wywołał czas ukryty w kamiennych krzywiznach Miasta Północnego, w spleśniałych tynkach, śladach kul, sterczących żebrach balkonów, a ja nie mogłem nasycić się wiecznością, jakiej dotąd nie spotkałem: śmiertelną, zmienną, nieprzewidywalną. Grobelski ciągnął mnie za rękaw, wrzeszczał o czasie, którego nie ma, aż w końcu jakoś dotarliśmy do celu.

Drzwi do mieszkania nie były szarym prostokątem z paździerza niewiele wyższym od człowieka, ale prawdziwymi wrotami oszklonymi do połowy. Grobelski zakręcił motylimi skrzydełkami dzwonka, włożył paluchy w szczelinę z napisem „briefe”, gwałcił przestrzeń za drzwiami, i jeszcze, dla pewności, wałnął pięścią w szklaną szybę.

– Przepraszam za przeszkodzenie! – odezwał się wytwornie na koniec.

„Przepraszam za przeszkodzenie!” – mówiłem odtąd każdej niedzieli głosem Grobelskiego i gmerałem palcami w szczelinie na listy. Z głębi mieszkania rozlegał się śmiech i szuranie kapci, potem zgrzyt zamka. Przychodziłem każdej niedzieli, bo lubiłem ten dom z okrągłą wieżyczką na szczycie, na której okrakiem siedział wielki anioł i z jakiegoś powodu miał ogromne cycki; lubiłem schody i ażurowe prześwity między stopniami, wysoką i wąską bramę z rzeźbionymi drzwiami, rurki od gazowego oświetlenia na suficie, no i lubiłem Salomona Finka, ponieważ Fink był niezbitym dowodem na istnienie Miasta.

Nie, nie był „Szkopem” („ Chyba nie mógłbym być Niemcem! Niemcom tak drastycznie nie dostaje kształtu! Jak tylko usiądą, dajmy na to, na krzesło, to zaraz sami stają się krzesłem, i to w stopniu znacznie doskonalszym niż samo krzesło. Niektórzy nazywają to perfekcjoniz-

mem”), nie uważał się również za Żyda („Ach, nie! Nie mogę być całe życie tym, co myślą o mnie inni!”).

– Oczywiście... – powiedział kiedyś – bywały sytuacje, kiedy nie mogłem zaprzeczyć, że jestem tym lub owym – szczególnie kiedy mierzono do mnie z karabinu. Ten, kto we mnie celował, sugerował zwykle odpowiedź, a ja mogłem ją tylko potwierdzić. Ale to były incydenty, o których nie warto wspominać. Ja jestem stąd. Nieodwołalnie i beznadziejnie stąd!

Podczas pierwszej wizyty siedzieliśmy przy stole, pijąc herbatę z prawdziwego Wedgwooda, a Grobelski, rzecz jasna, wylał cały wrzątek, odwracając czajnik do góry nogami w poszukiwaniu znaków.

– Moja żona Aniela... – Salomon Fink zaczął zdanie, ale szybko je urwał i w ciszy „chlipał oczami”, jak to trafnie ujął Grobelski.

– Moja żona Aniela... – drugie podejście było równie nieudane.

– Aniela, moja żona... – tego już nie wytrzymałem! Desperacja Finka tak mnie wzruszyła, że pospieszyłem mu z pomocą:

– Czy to ta, co siedzi okrakiem na dachu, z wielkimi cy... – urwałem, bo Grobelski wymierzył mi cios w potylicę otwartą dłonią.

Fink spojrzał na mnie ze smutkiem i zaczął się trząść, ja zaś szacowałem straty: koniec z kolekcją, Grobelski wyleje mnie z pracy, glutowata wieczność bez początku i końca zaleje moje życie, a ja będę tkwił w środku jak robak w kawałku żywicy.

Gospodarz ciągle podrygiwał, z oczu leciały mu łzy, ale ja już wiedziałem: Salomon Fink był kimś, kto dawno

temu połknął śmiech i teraz ten śmiech śmiał się w środku zamiast niego.

Grobelski szybko uznał, że mogę przychodzić sam. Każdej niedzieli o dwunastej Fink czekał na mnie, zależnie od pogody – w garniturze lub płaszczu, i wychodziliśmy z domu, pozdrawiając cycatego anioła na wieżyczce. Salomon pokazywał mi Miasto, a robił to w sposób, jakiego nigdy nie widziałem: wywijał swoją duszę na lewą stronę i rozpościerał ją przede mną – to, co wewnętrzne, najgłębiej ukryte i niedostępne, stawało się teraz powierzchnią, o którą stukwały nasze zelówki.

– Kiedy mam jakiś problem – mówił – no wiesz, jakikolwiek, doprawdy wszystko jedno, wtedy moje myśli zawsze zachowują się w ten sam sposób: najpierw, trochę nieskładnie, płacząc się i potykając, lecą ulicą Adalberta, prosto przez Most Lessinga, aż do Mauritius Platz („Nie tak szybko! Nie tak szybko, Salomonie!”), tam, gdzie jest skład mebli Braci Adler – tu myśli zwalniają, ze względu na ludzi – wiesz, te wszystkie przypadkowe spojrzenia, trochę zdziwione, mogą sprawić, że myśli zastygną w bezruchu. To chwila odpoczynku („Dziękuję, Salo!”). Potem, jak widzisz, droga się rozwidla (nic nie widziałem, tylko półkolisty kawałek torów, tkwiący w bruku jak szrama, potwierdzał słowa Finka). Mógłbym podążyć Klosterstrasse, ale nigdy tego nie robię, sam nie wiem dlaczego. Może to serce, które rządzi myślami, wybiera półsenny trans wzdłuż ceglanego muru Wodociągów Miejskich.

– Jeśli do tego czasu – ciągnął – na powierzchni problemu nie pojawi się najmniejsza rysa... („Hm... nic się nie pojawiło, Salomonie!”). Cóż, nie jest to jeszcze powód

do paniki, ponieważ... (Fink zatrzymał się, oddychając z trudem. Potem wyciągnął rękę, pokazując coś za moimi plecami) bryła potężnego wodozbiornika na końcu ścieżki będzie dla myśli takim wstrząsem, że problem sam niechybnie rozpękuje się na pół!

Odwrociłem się. Bezokienna budowla, skała z czerwonej cegły, o ścianach wyżłobionych niewidzialnymi strumieniami – coś takiego można zobaczyć tylko we śnie. Przeszedł mnie dreszcz. I gdybym miał akurat jakiś problem, z pewnością rozpadłby się na małe kawałeczki.

– Teraz dobrze jest zejść nad rzekę – Salo pociągnął mnie za rękaw. – Jej chłodna powolność przyniesie ulgę, zwiąże myśli, które nigdy nie były razem, pozwoli im płynąć, a... gdybyś mimo to miał jeszcze jakieś wątpliwości... – roześmiał się. – Ostry zarys kościelnych wież nad wyspami wykluczy każdą wątpliwość!

Innym razem Fink pokazał mi swoje młodzieńcze szaleństwo:

– Miałem tyle lat, co ty i byłem ciemny, nieostry, kompletnie niepojmowalny! Jakieś uczucia, niemożliwe do pochwycenia, przelewały się w moim ciele. Czulem, że dojdzie do katastrofy, jeśli nie znajdę czegoś poza mną, w czym mógłbym je zatrzymać, przechować, nadać im wyrazisty kształt, gęstość, ostre krawędzie, no i chłód, którego mi bardzo wtedy brakowało! Tylko tak mogłem zrozumieć samego siebie! Więc uciekałem ze szkoły, włócząc się godzinami od Paradies do Dworca Głównego, i dalej, aż do Beblo Strasse, póki nie nasyciłem sobą wszystkiego, co wpadło mi pod nogi – ogromnych płyt chodnika z żeliwnymi pokrywami, na których napisano

„gas” albo „Breslau kabel”, piwnicznych krat, od których wiało zgniłoziemniaczanym chłodem, schodów, skrzyżowań i krawężników... Kiedy już nasyciłem Miasto swoim zszaleństwem, uspokojony wracałem do domu.

Zatrzymał się przed zniszczoną kamienicą.

– Samo zrozumienie... – powiedział zamyślony – to jednak było za mało! Potrzebowałem czegoś jeszcze... Olśnienia, upadku, znaku... Widzisz tę bramę numer 36? Którejś nocy wszedłem do niej... – Salo kątem oka spojrział na mnie, taksując mój wiek i doświadczenie. – Dość że kiedy znalazłem się po drugiej stronie, na studziennym podwórku – nie byłem już taki sam.

Kiedyś trafiliśmy nad rzekę i Fink pokazał mi jej brzegi: omurowane, gładkie, jakby odwrócone do siebie plecami, „jak teorie matematyczne, w czasach, kiedy studiowałem na Uniwersytecie. Nie dawały się połączyć, choć przecież były częścią jednego umysłu. Stałem tu, a potem nagle odwróciłem głowę – to było jak senna oczywistość: Most Cesarski dokonał koniunkcji brzegów! Moją teorię nazwałem »logiką mostów«, przyniosła mi rozgłos na całym świecie, nie chcę się chwalić, ale raz czy dwa wspomniano nawet o Noblu! Wykładałem ją na Uniwersytecie, aż... do końca”.

Którejś niedzieli Salo siedział skupiony, jego myśli nie chciały ruszyć z miejsca, więc i my nie poszliśmy daleko, ledwie przed sąsiednią bramę. Dreptał w miejscu, pocierał podeszwami o bruk, próbując coś zmazać, mruczał i wzdychał.

– Chodź, Salo! – powiedziałem. – Nie ma o czym mówić! Łobuzów nigdzie nie brakuje!

I zaciągnąłem go z powrotem do domu.

Na południu Miasta i ja miałem swoje własne parę metrówkwadratowych upokorzenia i strachu.

Potem Fink umarł. Przed śmiercią podarował mi kolekcję. Sprzedałem ją Grobelskiemu za połowę ceny, ale nie wyjechałem z Miasta, sam już nie pamiętam, dlaczego.

Jeszcze przez jakiś czas, jak wskazówka kompasu, wracałem na Północ, aż w końcu mi się znudziło.

Kupiłem telewizor. Wieczność jakby trochę zelżała i w sumie dało się żyć.

Bibliotekarz

Jego oczy od jakiegoś czasu otwierały się szybciej i mniej boleśnie niż pamięć: powieki unosiły się bez ostrzeżenia, jak krata oddzielająca pierwszych chrześcijan od areny, na której miotał się ryczący nubijski lew – w taki mniej więcej sposób, każdego ranka, bezbronny pan Sztupalski stawał się łupem drapieżnego dnia.

Niespodziewana jasność raniła mu oczy, więc szybko zamykał powieki i czekał na wybawienie, ale jego pamięć, gdziekolwiek teraz była, odmawiała powrotu.

Gdzie była pamięć pana Sztupalskiego – oto pytanie! Z pewnością nie było jej w środku Sztupalskiego, chociaż on sam czuł, że musi być gdzieś niedaleko, więc zrobił szparkę w powiece lewego oka i zaczął wpatrywać się w białą prostokąt nad głową, na którym migotały jeszcze pozostałości snu. Zniknęły, zanim zdążył przyjrzeć im się lepiej – tak jak każdego ranka, lecz pan Sztupalski jeszcze sobie tego nie przypomniał.

Białą prostokąt wysoko w górze bardzo go przeraził – strach nie potrzebował pamięci, żeby istnieć, po prostu sobie był, w dodatku biały i prostokątny. Całe życie Sztupalskiego – jak by nie spojrzeć na sprawę – było teraz białe i prostokątne, gdyż pamięć, opóźniając swoje przy-

bycie, odmówiła mu bardziej wyszukanych kształtów. Znam ludzi, którzy oddaliby wiele, aby ich życie nabrało takiej jednoznaczności i spójności: biały prostokąt jako jedyna forma istnienia – toż to prawdziwe wybawienie (przynajmniej dla niektórych), ale, w tym szczególnym przypadku, pan Sztupalski musiał być koniecznie PANEM SZTUPALSKIM – ot, choćby po to, żeby pójść do pracy, to chyba jasne!

Nagle zaczęło mu się zdawać, że bezludne śnieżne pole nad głową zaraz go pochłonie, więc z tego strachu stęknął tylko: „Ja...” (w takich przypadkach mówicie: „Bóg jeden wie dlaczego?”, ewentualnie: „Diabli go wiedzą!”). „Dobrze, dobrze: Ty!” – Sztupalski czuł, że musi chwycić się tej myśli, więc dla pewności chwycił się jeszcze kołdry i wtedy go olśniło: „Ja... jestem... ja!”. To było naprawdę coś! Wszechświat natychmiast podzielił się na dwie różne części: sufit i pana Sztupalskiego. Każde przyzwoite genesis tak się zaczyna (wiem coś o tym), lecz tu akurat wciąż nie było jasne, kim jest ten, co nie był sufitem.

Wszystko wyjaśniło się w ciągu sekundy: pamięć spadła na Sztupalskiego jak kawał tynku i przywaliła go całym swoim ciężarem („Biały prostokąt... – pomyślał z żalem – był taki śliczny! I zdecydowanie mniej bolesny”).

Teraz Sztupalski mógł mężnie chwycić poranek za gardło: postanowił nieodwołalnie zrekapitulować całe swoje życie, aby otrzymać siebie gotowego na ten dzień! Odbudował się z wydarzeń tragicznych, smutnych i niesmacznych – innych jakoś nie mógł sobie przypomnieć, a może ich po prostu nie było (dzień zapowiadał się po-

chmurny, a pan Sztupalski cierpiał na melancholię). „Chwała Bogu – pomyślał – że przypominamy sobie tylko symbole zdarzeń, jakieś emocjonalne esencje, sensoryczne kondensaty, bo inaczej przypomnienie sobie jednego dnia zajęłoby cały dzień, roku – rok, a całe życie pochłonęłoby dokładnie sześćdziesiąt dwa lata, trzy miesiące i pięć dni. Spóźniłbym się do pracy!”

Skoro już wiedział, kim jest (przynajmniej do następnego poranka) wstał z łóżka i poszedł do łazienki. Spojrzał w lustro i z goryczą pomyślał, że lustra mogłyby jednak odbijać z tak okrutną ekstensywnością. Wystarczyłby jakiś ogólny szkic, zarys, kondensat, esencja – „czy ja wiem? Może na przykład tylko brwi? (Brwi mam ładne). Ale za to ten przekłety podbródek!” (Plask, plask!).

Wypił kawę na stojąco, ubrany i gotowy do wyjścia.

W pracy pan Sztupalski zabrał się do katalogowania nadesłanych książek: najpierw oczywiście nazwisko autora. Wypisał je starannie na kawałku sztywnego papieru. Sprawdził: w katalogach było już dwieście trzydzieści identycznych. Sporo (jak na tak rzadkie nazwisko), lecz kiedy pan Sztupalski dodał do nazwiska imię – ilość identycznych fiszek spadła do stu dziesięciu. Tytuł ograniczył ich liczbę do pięćdziesięciu dwóch, a wydawnictwo i rok wydania – do dwudziestu czterech. Chrząknął zakłopotany, bo chociaż co dzień doświadczał powtarzalności świata, ten wynik był prawdziwym wyzwaniem. Nie było rady: wziął mały wózek biblioteczny, odnalazł właściwe książki, a potem w ciszy swojego pokoju sprawdził pierwsze zdania wszystkich dwudziestu czterech powieści. Jedenaście z nich zaczynało się tak samo.

– Jedenaście! – stęknął. – Niezły wynik.

Potem sprawdził kilka następnych zdań, i jeszcze dalsze. W końcu zostały mu cztery książki: dwie były identyczne do czternastej linijki na dwudziestej piątej stronie, przepisał więc wszystko uroczyście, łącznie z ową piętnastą linijką, która czyniła te dwa utwory tak bardzo różnymi od siebie.

Dwie książki, które mu zostały, były identyczne do ostatniej kropki.

Pan Sztupalski zadumał się i... sięgnął po fotografie autorów. Byli bez wątpienia różni, a to dawało nadzieję. W kwestii różnicowania rzeczywistości bibliotekarz Sztupalski był prawdziwym mistrzem (poza mną, rzecz jasna, ale ja jestem Panem Bogiem, do cholery, a nie jakimś tam panem Sztupalskim). Zaczął od nosa jednego z autorów, jednak zaraz ogarnęło go zniechęcenie: oficjalnie (Sztupalski posiadał coś takiego jak myśli oficjalne) uznał kształt nosa za niewysłowiony, ale w głęboko ukrytej sferze myśli prywatnych czuł, że opis nosów jest dziwnie podejrzany i niebezpieczny.

Poszedł zaparzyć sobie kawy (wy zawsze robicie sobie kawy, jak tylko macie jakieś kłopoty z twórczością! Jakże ja wam tej kawy zazdrozczę! A weźcie sobie te ryby tęczowe, chmury perłowe, motyle i inne duperele, w zamian za filiżaneczkę... mmmmm!).

„To okropne! — myślał Sztupalski. — Dlaczego dzisiaj nikt nie przywłaszcza sobie drogi, po której idzie? O ile prostsza byłaby moja praca! Kiedyś artysta, który odkrył nowy szlak, natychmiast zamykał go dla innych prawem odkrywcy, stawiając u wejścia tablicę ze swoim nazwiskiem. Liczyło się pierwsze przejście, kto ruszył jego śladami, nie mógł liczyć na wiele. A dzisiaj co? — myślał z

goryczą Sztupalski. – Po ubitym trakcie przewala się co miesiąc przynajmniej dwóch Szekspirów i jedenastu Borgesów, a my, funkcjonariusze Biblioteki, musimy jakoś regulować ten ruch”.

I byłby zrezygnował, przynajmniej do następnego ranka, lecz na ostatniej stronie jednej z książek, tam, gdzie skończył się druk, na śnieżnobiałym prostokącie, zobaczył coś, co go zastanowiło: brązową plamę po rozlanej herbacie i odcisk zatłuszczonego palca. „Skandal! – pomyślał oficjalnie. – Pracownicy hurtowni książek biorą je do domu i brudzą albo, co jeszcze gorsze, czytają w pracy w czasie przerwy śniadaniowej”. Nieoficjalnie coś mówiło mu, że powinien się cieszyć. Bledziutka plamka obok kciuka mogła być łzą wzruszenia upuszczoną znad talerzyka jajecznicy. „Łza? Czy aby?” – zdziwił się, lecz zaraz pomyślał w tajemnicy przed samym sobą: „W końcu przecież i mnie zdarzyło się kiedyś płakać nad książką. Pamiętam, jak szlochałem, kiedy Pollyanna...”.

I Sztupalski dokładnie przerysował wszystko na biblioteczną fiszkę. Westchnął z prawdziwą ulgą: „O, dzięki ci...”, lecz nie wymienił żadnego z jej banalnych imion.

Odspondek

Ach, jak pani elegancko spada, pani Marianko! Jak prawdziwy anioł: punktualnie i w jednym kawałku! Ale, bez urazy, pani Marianko: co ja tam mogę wiedzieć o aniołach! Ot, tyle, że zdążają na czas i nie brudzą, jak lecą, zupełnie jak pani. Bo jaki to posłaniec, co się rozkładu nie trzyma, a w dodatku jeszcze sypie się z niego, bez urazy, pani Marianko?

Za to o ludzkim spadaniu to ja wszystko wiem! Poznam każdego, kto leci, jeszcze zanim chlaśnie mi pod nogi. Tak, pani Marianko, od samiułkiego początku wiem, kto spada – i ja to wiem samym tylko uchem! Bo u nas każdy inaczej leci! Każdy tu spada na swoją melodię.

Weźmy taki Pułkownik, spod trzydziestego: najpierw kapiami klapie „klap, klap, klap”, głucho klaszcze, bo laczki znoszone, ale zaraz coś jasnego się rozlega, jak radosny dzwoneczek, do każdego klapnięcia jakiegoś „dyń, dyń” przytroczone, jakby Pułkownik szklane ostrogi miał przy kapiach.

„Klap-dyń, klap-dyń” – tak się zaczyna spadanie Pułkownika, bo wszyscy wiedzą, że Pułkownik wazonami po wódce jest przepełniony. No bo i co z nimi robić? Kiedyś pani Pułkownikowa lubiła sobie jakąś szklaną butelkę

na szafie postawić, żeby ładną rzeczą oko nasycić w czasie obiadu, ale po śmierci żony Pułkownik na sztukę żadnej uwagi już nie zwraca, wazony odsąca i wkłada do reklamówki. Raz na tydzień znosi torbę osiem schodów w dół i wtedy równo osiem „klap-dyń” się rozlega, i zgrzyt! – znaczy Pułkownik w szuflę się mości. A potem jak nie huknie! Pułkownik klapę zamyka i leci w dół jak kula armatnia, a huk długim echem się niesie po mieszkaniach, wszyscy z łóżek wyskakują, bo Pułkownik zawsze spada o czwartej nad ranem – wiadomo, że to najlepsza pora na początek bitwy.

Czego oni nie robili, pani Marianko! Anonimy pisali, owszem, te spod dwudziestego drugiego, osiemnastego i spod dwójki, wszystkie czytałem, na brudno. A jak nie poskutkowało, to zbierali podpisy – ale co oni mogą na niego! Jak orderzy włoży i pójdzie do spółdzielni, to nikt mu słowa nie powie. No to się przyzwyczaili: spada sobie Pułkownik raz w tygodniu, o czwartej nad ranem, na pamiątkę bitwy pod Lenino, a potem – cisza.

Na panią Machoń, co mieszka pod dwudziestym, nikt donosów nie pisze, bo ona leci cichutko, na paluszkach, jakby jej nie było. I zawsze, kiedy wszyscy w pracy, żeby nie przeszkadzać. Na początku tylko westchnie: „puuuuf!”, klapą załka i spada, ale tak, jakby nie była pewna: czy lecieć w dół czy może w górę? I z tej niepewności pani Machoń wzdycha przez całą drogę, bo ona, pani Marianko, ma miękkiego dużo w środku.

Ja tam nie wiem, czy mogę pani powiedzieć, czym ona jest wypełniona, bo to akurat wiedzą tylko dwie osoby na świecie: pani Machoń i ja! Nie chciałbym plotek robić, żeby od razu wszyscy w kamienicy wiedzieli, że Machonio-

wa listy pisze do Karela Gotta, ale potem drze je wszystkie i wyrzuca. Najgorzej, jak za dużo napisze, wtedy robi się taka pękata, że zamiast lecieć równo w dół – utyka na środku drogi. I kłopot. Bywa, że tydzień siedzi, ale, tak czy owak, zawsze ją w końcu Pułkownik przetka.

Stary pan Szczudełek spod dwudziestego czwartego gubi pamięć. Kawałek po kawałku ją odłupuje i wyrzuca, bo mu nie potrzebna, chociaż jeszcze w dobrym stanie, przedwojenna. Pamięć pana Szczudełka jest rozmaita: raz ma brzmienie metalu posrebrzanych widelców, noży i łyżek, innym razem szeleści jak papier książek, a czasem to ja, pani Marianko, nic nie słyszę, i tylko sam zapach naftaliny zwiastuje pamięć pana Szczudełka – wtedy lecą czapki i kołnierze z bobra, łosiowe rękawiczki, palta z angielskiej wełny.

Ja wszystko z dołu odbieram i trzymam, aż przyjedzie z zagranicy syn pana Szczudełka – wtedy oddaję. On potem na ojca strasznie krzyczy, że pamięć całkiem dobrą wyrzuca – ale sam jej do siebie nie może wziąć, bo mu nie pasuje do mebli.

A hrabina Poleska spada deszczem. Kocięgo gówna. Najpierw słyszę coś jak szum wiosennej ulewy: „szuuu, szuuuuu” i nawet jak krople spadające na parapet, ale ja już wiem, że to hrabina sypie piasek z kuwety prosto do zsypu, chociaż to zabronione, potem trzy razy postuka, żeby gówno przyklejone odelgło i koniec spadania hrabiny Poleskiej. I powiem pani, kochana pani Marianko, że przez hrabinę to ja już deszczu nie lubię! Bo jego gówno obchodzi, na co on spada! Wszystko mu jedno, na co on leci, co pod nim żyje! Takie jego prawo natury! I takie prawo natury hrabiny Poleskiej. A przecież napisa-

no: nie spuszczać się luzem! I to dotyczy każdego, z wyjątkiem hrabiny Poleskiej. I deszczu.

A w całym domu tylko pani jedna, pani Marianko, spada jakoś tak... nie po ludzku. Coś mi tylko zaszumi nad głową, ciepłym wiatrem w twarz zawieje i już pani jest, nie wiadomo jak! A zawsze czysta jak anioł! Bo w pani to ja nigdy nie natrafiłem na żaden ślad zepsucia, wszystko ma pani w środku wymyte: kubek po jogurcie, skorupki od jajek, kapslesek od śmietany wylizany, no a kurz! Kurz w pierwszorzędnym gatunku, prawdziwy rarytas! Drobnio mielony, pachnący, zapakowany w torebeczkę. W piekle bym panią poznał po tym kurzu, choć osobiście wątpię, żeby pani tam poszła. Nie, nie! Dla pani najlepsze miejsce to czyściec, bo pani ma do tego serce! Nad każdym pyłkiem się pani pochyli, najgorszy brud, co się od życia oderwał, w ręce pani weźmie i miejsce mu da, a wtedy on już się nie czuje jak jakiś odłupek... ja to bym chciał być u pani za śmiecia!

A oprócz czystości wewnętrznej pani ma w sobie jeszcze coś, czego inni nie mają, pani Marianko! Pani ma w środku... kawałek mięsa albo makaron zapiekany, czasem ciastko z kruszonką, a na Wigilię to tu, w samym śródeczku, niczym serce gorące, miała pani... słoiczek barszczu z uszkami!

Bo tam na górze każdy myśli, że jest lepszy od swoich śmieci, a cały ich świat kończy się na dziurze do zsypu — za nią to już tylko chaos, ciemność i smród, więc kto by sobie chciał głowę tym zawracać! Oni po tamtej stronie dziury życie sobie szykują, dopasowują, stroją, ale, bez obrazy, pani Marianko: żeby nie wiem jak układali — zawsze im coś zostanie. Taki to puceł! Bo człowiekowi zawsze

coś z życia zostaje, na to nie ma rady. Na samym końcu — ciało! Z nim też, pani Marianko, nie wiadomo, co zrobić, bo w końcu i ono do życia nie pasuje: czernieje, kurczy się, czystość psuje! Każdy własną łupinę nosi na grzbiecie, tylko wcale nie chce o tym pamiętać, że i on na koniec staje się odpadkiem. Ciało jest owocem życia, pani Marianko: rośnie, dojrzewa, ładnieje, a potem od życia się odrywa, spada, pęka, żeby duszę uwolnić. Niepięknie wtedy wygląda, niech mi pani wierzy! Co wtedy, ja się pytam? Schować głęboko czy może spalić, żeby było ekologicznie? Teraz to ludzie lubią się palić, ale jak by nie zrobił, zawsze coś zostanie, choćby garstka pyłu. I tak bez końca: posprząta człowiek, a następnego dnia: kurz leży! Zetrze go pani, a za dwa dni — jeszcze go więcej! Nie ma przed nim ucieczki.

„Z kurzu powstałeś i w kurz się obrócisz, więc pamiętaj, żebyś ponad śmieci się nie wynosił!” — powiedział Pan, ale dzisiaj, pani Marianko, każdy swoich śmieci się wypiera, a jak mu coś do życia nie pasuje, to zaraz chyłkiem pakuje do kubła! Ale wcześniej jeszcze się odrzutka zgniecie w ręku, zdusi, żeby do siebie nie był podobny, żeby go bardziej poniżyć, a potem jednym ruchem wrzucić w czeluść i klapę po nim dobrze zamknąć. A co się z nim potem dzieje? Kogo to obchodzi! Tylko ja jeden widzę, jak on w ciemność się zapada i leci w dół tunelem bez światła. Ja jeden słyszę, jak się ten ugryzek ścian próbuje czepiać, jak jęczy i łka, jak przyłgnać gdzieś chce, byle nie opaść na samo dno! Ale to nie on, pani Marianko, tylko WY sami, niechcianej reszty się wyrzekłszy, dzień po dniu, kawałek po kawałku, zstępujecie do piekieł!

I nie ma nikogo, kto by się za wami ujął, od spodu!

Myslicie: bezdomny pijus w naszym zsypie mieszka, między kubłami śpi, a że jest cichy i awantur nie robi, więc nasze miłosierdzie – pozwolić mu tam gnić! Och! Jacy my dobrzy, jacy miłosierni, że go stamtąd nie przepędzamy! A jaka ja dobra Marianka, że mu czasem trochę jedzenia z góry ześlę! „Od życia się odgiął, darmozjad, więc niech teraz żyje, między takimi śmieciami jak on sam!” – tak pani napisała w liście do swojej kuzynki, proszę się teraz nie wypierać. Ale ja się nie obrażam, bo przecież ja jeden tylko wiem, komu jest potrzebny taki odszczepek i wiór, taki śmieciom-brat jak ja.

Pamiętam, jak raz, nocą, oczy otwieram i widzę: jasność! A taka wielka, że zaraz sobie pomyślałem, bez urazy, pani Marianko: kubel się pali! No to zarzucam szmaty, żeby ogień ugasić, ale wtedy ogień jeszcze większy się zrobił i krzyczy głośno ludzkim głosem: „Przestańże, człowieku, bo mnie udusisz! A od tego smrodu już mnie głowa rozbolą! Z wami to doprawdy trudno się dogadać! – mówi do mnie ten ogień. – Dasz wiarę, że jakem na górze Horeb krzakiem gorejącym się ukazał, to Mojżesz moczem zaczął mnie gasić?! A ja tylko przychodzę, żeby ci powiedzieć, że twoimi rękami ludzkość chcę zbawić od śmieci! I od tej resztki cielesnej, co w ziemi gnije, kompletnie bez sensu, sam już nie pamiętam dlaczego”.

Teraz pani rozumie, pani Marianko, jaki jest wyższy cel mojego tu bycia w waszym zsypie? Jak Stworzyciel robił na świecie porządek słowami – to On zupełnie śmieci nie przewidział! Jemu się one w głowie nie mieściły, więc On na nich słowa nie miał. Jak On robił świat, to wszystko na coś się przydało: dzień zrobiony został ze światłości, ocean z wody – tylko kurz został, i co z nim począć? A,

bez obrazy, pani Marianko, przy takiej robocie to się dopiero musiało kurzyć! Żal było Panu naszemu drobinek szarych, więc ubranie i ręce otrzepał, aniołom kazał wszystko ładnie podmieść w kupeczkę, do ostatniej strużyny, żeby nic się nie zmarnowało, bo wtedy i kurz był boski, i każdy śmieć, a potem zrobił człowieka z tego, co mu zostało, bo u Niego nic się nie miało prawa zmarnować, bo wszystko było ważne i na swoim miejscu!

No a potem spojrział Bóg z góry na swoje dzieło i oczom własnym nie mógł uwierzyć, bez obrazy, pani Marianko! Zobaczył Pan, że na świecie pełno jest czegoś, co choć przez Niego nie stworzone, to przecież zbawienia się domaga!

A zaczęło się od ogryzka w Raju. Dlatego On mnie tutaj ustanowił: żebym ja od drugiego końca dzieła Jego pozakańczał! Żebym słowem wywyższył i znaczenie dał wszystkiemu, na co słowa nie ma... Żebym porządek zrobił do ostatniego obierka. Więc kiedy wasza zepsutość spływa mi na głowę każdego dnia, ja ten chaos, miszmasz, groch z kapustą, szari-wari, wszystko w jednym worku wymieszane, rozkładam na podłodze, żeby sens odnaleźć tam, gdzie wy go już nie widzicie! Każdy strzęp w ręce biorę, żeby mu uszanowanie dać, a on mi w zamian mówi to, czego wy sami o sobie nie wiecie. Ład stwarzam, gdzie go nie ma. Po temu jestem.

Ale kiedyś, bez obrazy, i na mnie przyjdzie pora, pani Marianko. To będzie wielki dzień: pięknie się uszykuję, w garnitur, co mi go pani zesłała, w krawat i skarpetki białe jak anioł, perfumą się pokropię – a potem będę szedł na górę, żeby golgoty dokonać! Od samiutkiego parteru będę szedł, z każdym miło się przywitam, każdemu powiem

słowo, dwa, jakiego nigdy od nikogo nie słyszeli. A na dziesiątym piętrze, gdzie jest kłapa wyrwana, ja w nowiutki worek po pralce się owinę, zwiążę go mocno od środka i spadnę w dół. Zagra mi jeszcze muzyka ostatniego lotu, i taki to będzie koniec końców! Bez obrazu, pani Marianko.

Z życia dusz

Szczotką do zmiatania, opatuloną w kosmatobure szmaty, zmywała kurz ze schodów. Przystanęłam, żeby zobaczyć, jak prawo grawitacji wyklucza wszelkie miłosierdzie: najniższemu ze wszystkich stopni, i tak obtłuczonemu, dostawał się cały lepki brud stu sześćdziesięciu trzech pozostałych ustanowionych ponad nim, a nasza dozorczyńni, Jadwiga Amalfi, obraźliwymi słowami ofurkiwała tę kosmiczną niesprawiedliwość.

Spojrzałam z zazdrością: stróżka nazwana Amalfi nie przestanie śmierdzieć kapustą – to fakt, jednak... Dziwaczne słowo, ofiarowane jej przez męża lub ojca, niezamężną matkę czy, Bóg jeden wie, przez kogo, ten niewidzialny dźwięk, który długo rozbrzmiewał wędrując przez czas i przestrzeń, a teraz, przytroczone do naszej dozorczyńni jak pęk kluczy, pobrzękujący przy każdym poruszeniu jej ciała, to cudne, miękkie „aamalfiii” otaczało stróżkę wonią, od której zapierało mi dech w piersiach.

Bo ja nazywam się tak jak wszyscy.

Wykręciła szmatę i rozwiesiła dziury na kaloryferze. Ostatni stopień, brudniejszy niż kiedykolwiek, wyglądał jak ofiara zmowy wszystkich schodów ciągnących się od dziesiątego piętra.

– Nie ma przyjemniejszego uczucia niż to, że wszystko już się skończyło! – zagadałam. Ot tak, nasunęły mi się te słowa na myśl gładko i nieoczekiwanie.

– Jeżeli o mnie chodzi, to radzę pani uważać! – warknęła stróżka, zdjęłam więc buty, żeby nie nanieść, lecz wtedy ona zaszeptła ponuro:

– Radziłabym uważać, ponieważ dokładnie TEGO SAMEGO zdania użyła dusza rencisty spod dziewiątego, kiedy zeszej soboty zmuszona była opuścić jego ciało.

– Dlaczego? – zapytałam.

– Wóda! – dozorczynią szarpnął dreszcz obrzydzenia. – Opuściła go z powodu, że pił!

– Ale... – ciągle nie mogłam tego pojąć. – Dlaczego użyła... zdania?

Amalfi spojrzała na mnie z pogardą:

– Bo jak na początek Pan Bóg każdemu słowo dał, żeby ciało ożywić – bo bez słowa danego nikt by jednej chwili nie przeżył – to na koniec trzeba je chyba oddać, co nie? Na miejsce!

Dla przykładu: dusza świętej Teresy z Lisieux, tej, co ją nazywali Małą Tereską – Duża Teresa to pani wie, że Od Krzyża była – więc jak z Tereski dusza wychodziła, to zaraz wszystkim obiecała, że ich obsypie różami. „Obsypię was różami” – powiedziała, a potem raz-dwa się zawinęła i tyle ją widzieli.

A pani wie, co dusza na ostatek powiedziała naszemu wikaremu? „Bez obrazy, stary, ale dłużej żyć z tobą nie będę!”. A każdy wie, jak się wikary z nią pieścił przez całe życie! Jak się z nią cackał, jak do niej przemawiał, i to nie byle jak, ale po łacinie: „Duszyczko ulotna, miła, gościu mego ciała! Animula vagula blandula – dokąd się teraz

wybierasz, maleńka, na takie zimno?”. Ale co to dało? Poszła sobie i tyle. A znowuż Karterzjuszowa, co tylko przygodnie z nim była związana, puściła go kantem, jakoby dla Leibniza, bo ją zmęczyło wstawanie o piątej rano. Na koniec rzekła tylko: „No cóż, pora się chyba rozdzielić?” – i fiuuuuuuuu! Poleciała, latawica jedna! A Karterzjusz, zanim zdążył pomyśleć – już go nie było!

– Trudno się dziwić, że poleciała! – wtrąciłam. – Dusza jest substancją lotną.

– A pewnie, pewnie! – mruknęła Amalfi. – Dusza mojego wuja takiej nabrała lotności od Absolutu, z lodem, bo wiadomo, że Absolut, jaki by nie był, ciepły jest do niczego, no więc ledwie wuj zdążył krzyknąć „dOOOOOOOOOskonały!”, a duszyczka, przez „O” niebo błękitne zobaczywszy, przeskoczyła przezeń jak przez obręcz w cyrku – i we świecie się rozplynęła!

Tak samo jak wiekuista cząstka naszego organisty, Panie świeć nad nią, żeby nie zbłądziła! Ona, nie dość że wyszła na świat pijaniusińka, to na dodatek jeszcze: w ka-wał-kach! Bo organista, CZKAWKI na koniec dostawszy, po kawałku duszę uwalniał. Ona teraz, nieboga, po świecie się błąka i szuka – samej siebie – żeby w jakiej-takiej całości na Sądzie Ostatecznym się pojawić. A co uzbiera, zaraz gubi, po bramach się szlaja, pijaczkom w oczy zagląda, bo w każdym samą siebie widzi. Ale dobrze jej, bo choć swobody zażywa. Taka na przykład dusza Mordki Kowala, zlitujcie się nad nią anieli, przez trzy miesiące od śmierci Mordki ciągle do niego była przykuta! Mocno, że i siekierą by jej nie odrąbał. Kowal w lesie zasnął, na tęgim mrozie – tak tęgim, że oddech w szron zamieniał – więc kiedy z oddechem ostatnim dusza Mordki

wyszła na ten Boży świat, to zaraz soplem Mordce do ramienia przymarzła i w lodzie uwięziona w żadną już stronę ruszyć się, biedna, nie mogła! Okoliczni mówili, że kwiliła, zziębnięta jak dziecko, spać nie dawała, a Kowal siedział tak z duszą na ramieniu aż do roztopów.

Jednak to, co wydarzyło się u naszej Aptekarzowej na ostatek, to już był prawdziwy skandal! Kiedy nadeszła pora Ostatecznego Rozwarstwienia Aptekarzowej, a mówiła, że wszystko szło jak po maśle: Aptekarzowa rozdawała błogosławieństwa i klucze do skrytek, kiedy nagle, ni z tego, ni z owego, zbladła, jakby piorun w nią strzelił, oczy wybałuszyła i pyta się na głos: „A po jakiemu ja właściwie mówię?”. Wszyscy strupieli, ale grzecznie jej odpowiadają, że: „Po naszymu!”. I wtedy ona: „No, a teraz: MASTROVILIOPINTREMISMO?”. To były jej ostatnie słowa. I kto by się spodziewał? Taka z niej była czcigodna kobieta! Całe życie przy mężu, przy dzieciach, przy garach, przy zdrowych zmysłach — a tu, samym duszy koniuszkiem, tym kawałtkiem, co jej się został, zamiast powiedzieć to, na co wszyscy tak czekali...

— To znaczy, co? — zainteresowałam się.

— A chociażby, gdzie się podziała pelisa bobrowa Aptekarza!

— A, pelisa... — mruknęłam rozczarowana.

— No to już pani nie będę mówić, co spotkało na koniec poetę Vorgenasa... — Amalfi poczuła się dotknięta.

— Tego wieszczą? — ożywiłam się. — Takiemu poecie to dusza chyba sonetem wyjść musiała?

— Oooo! Sonetem to co najmniej! — zapewniła Amalfi. — Lecz Vorgenas tak długo zwlekał, wersy skręcał, rymy ucierał, wciąż krzyczał: „Muszę się zastano-

wić!” i „Jeszcze chwileczkę!” – wiadomo, że byle czego na świat nie mógł wypuścić – że jego dusza, zmęczona tak długim czekaniem, umknęła... recta via! Mając w nosie zakłopotanie obecnych. A potem pośmiertnie wydane utwory Vorgenasa, co je sam Wieszczyk ze starczą prostotą nazwał „Carmina”, znaczy „Pieśni”, złośliwi przechrzcili zaraz na „Carminativa” – „Wiatropędne”.

Amalfi zachichotała, a ja pomyślałam zaraz, że dobrze byłoby mieć pod ręką jakąś elegancką frazę, ot tak, na wszelki wypadek, żeby nie było wstydu na koniec. Chciałam znaleźć coś ładnego, ale na myśl nasuwała mi się jedynie zużyta, w pijackich oparach wymamlana dusza ren-cyisty spod dziewiątego. Cuchnęło wodą, lumpeksem i postmodernizmem, więc chyba... może... raczej... nie powinnam... Tfu!

– A, jassssne! – syknęła Amalfi. – Od razu „nie powinnam”. Jakby wszyscy tak myśleli, to nikt by żadnego słowa już w życiu nie powiedział! Bo dzisiaj wszystko musi być na jeden raz, zawsze świeże i nowe! A mój ojciec, żeby pani wiedziała, jednej prezerwatywy dziesięć lat używał – przynajmniej do czasu, aż ja się nie urodziłam. Tylko się nie trzeba brzydzić! Wiadomo, że się zawsze czyjąś duszyczkę w gębie obraca w czasie gadania – na to już nie ma rady! Ale skoro już istnieje jakieś zdanie, to po co wymyślać nowe?!

Amalfi zastanowiła się głęboko i dodała:

– A w dodatku: takie samo!

– Jest pani pewna? – zapytałam groźnie.

Stróżka spojrzała na mnie zawiedziona. Tak samo musiał patrzeć pan Amalfi na swoją gumową sakiewkę po dziesięciu beztróskich latach.

– Wolałaby poderżnąć sobie gardło, niż skłamać choćby na jotę! – zacharczała Amalfi uroczyście, a ja, głowę dając, słyszałam już gdzieś to zdanie*.

– Cały Wszechświat wziął się z Boskiego gadulstwa – ciągnęła stróżka. – Co Najwyższy Gaduła powiedział, zaraz było! Tak się hałas Jego głosu słucha! A zaczynam się Stwórca do roboty wziął, to musiał sobie naprzód wszystko w myślach opowiedzieć, żeby wiedział, co po czym, dokładnie, po kolei. Świat robił i po cichu sobie mamrotał, żeby Mu się nie pomieszało: „Teraz niebo, a POTEM ziemia! I jasność od ciemności, a potem dopiero gwiazdy, morza i ryby”. Bo co by to było, jakby On ryb ponastawiał, a o wodzie dla nich zapomniał?! Straszny smród, co nie? Więc jak i na ziemię, tak i na człowieka los gadaniem spływa z Boskich ust! Każdy z nas przepięknie został opowiedziany tam na wysokościach, jak w najlepszej glancowanej gazecie, a kiedy się rodzimy, to z takiej opowieści każdy dostaje jakiś kawałek, nieduży, na przykład: „Obsypię was różami”, żeby dusza po takim zdaniu, jak pająk po nitce, do sieci słów Boskich z powrotem mogła się wspiąć.

– A więc... – olśniło mnie – dusza to cytat? Boska pożyczka? Fragment całości?

Amalfi wzniosła oczy do góry:

– Ciekawe, kto pani dał ten doktorat z filozofii, że najprostszych rzeczy pani nie rozumie?

– Ale w takim razie dlaczego wszyscy mamy w ustach pełno dusz?

* W to zdanie wsunęła się spiesznie (ponaglana przez syfilis) dusza Teoфіla Gautier, kiedy... itd.

– Bo czasem taka duszyczka na miejsce nie może utrafić. Co pani myśli – tyle tam słów na górze! – stróżka westchnęła. – No i wtedy... krąży, biedactwo, po świecie się błąka i tylko czyha, żeby na cudzą myśl się nasunąć, a potem, cudzym oddechem niesiona, ożyć choćby na chwilę!

– Pani to już chyba czwarta jest, co mi tu na klatce mówi: „Nie ma przyjemniejszego uczucia niż to, że wszystko już się skończyło!” – Amalfi głośno wciągnęła powietrze przez nos.

O Chryste! Więc to nie ja mówię, kiedy mówię?! Więc jestem tylko wehikułem niewidzialnego, oddechem ujeżdżanym przez słowa, ciałowstąpieniem dusz? Nie!!!

Chociaż... to przynajmniej tłumaczy wszystkie bzdury, jakie zdarzyło mi się w życiu wypowiedzieć.

Od tamtej pory słowa, które niespodziewanie nasuwają mi się na myśl, wypowiadam ostrożnie i z należytą powagą. Niektórym pozwalam bez końca ślizgać się po moim języku, na przykład: „Mastroviliopintremismo”. Nie krzyczę: „Doooooskonałe!”, kiedy piję, i, rzecz jasna, nie mówię na mrozie ani kiedy mam czkawkę.

Ale od jakiegoś czasu nawiedza mnie... milczenie.

Niezwykła cisza, inkrustowana pauzą i błyskotliwym zachłyśnięciem, oprawna w bezdech. Przychodzi do mnie duszyczka, która... NIC nie mówi.

Przylapałam Amalfi w bramie:

– Jak to możliwe, żeby ona nic...?

– Bo możliwe, że... to mój kuzyn Teo! – przypomniała sobie stróżka. – Umarł, biedaczek, bez jednego słowa! Chorobę miał! Tyłu wojen w życiu zaznał, ojczyzn, nazwisk i języków, że się nabawił od tego uporczywej ironii!

Do żadnej on mowy ludzkiej nie mógł już przylgnąć z ufnością, bo go zaraz każda brzydziła. I żał do każdej miał, bo mu wpiern naobiecowały, a to, że „język giętki”, a to, że „wszystko, co pomyśli głowa” – ale żadna słowa dotrzymać nie chciała! No to się potem za to mój kuzynek Teo na nich mścił. Ach, jak on się na nich mścił, żeby pani wiedziała! Jak sobie którą upatrzył, to choćby i najbrzydsza była czy nawet... ugrofińska, tak ją zagadywał, tak kusił, tak się w niej przegłądał, aż mu uległa! A wtedy, wstyd powiedzieć, brał ją – i tak, i wspak – zniewalał, sobą wypełniał, psuł, gwał, przekręcał, a kiedy już się nasycił swoją złością, to ją zdradzał: najprzód dla miętszej, miętszą dla piskliwej, piskliwą dla szemrzącej! Z każdą potworów napłodziwszy, po domu biegał golusienki i na niby-tronach bękartów usadzał: „Ciebie, pokrako – ryczał – pasuję na księcia Wielkiego Słownika Oxfordzkiego, a ciebie baronem Laroussem robię, i basta!”. O Jezu, co my z nim mieli! Nawet zycbady doktora Zamenhofs z Białegostoku nie pomagały. Byłby się kuzyn Teo na śmierć zagadał, gdyby nie taka jedna... Hansia Majer. Najładniejsza dziewczyna na naszej ulicy. Przyszła kiedyś do Teodora pod wieczór, jak nikogo w domu nie było, i pokazała mu... koniuszek swojej bielutkiej piersi. Żeby pani wiedziała, co się później działo! Kuzynowi na widok takiej piękności SIEDEM słów podziwu w SIEDMIU różnych językach NARAZ w gardle stanęło. Poczzerwieniał, jakby go apopleksja miała trafić, zachrobotało w nim jak w zamku – i umilkł! Milczał tak calutki, od stóp do głów, jeszcze przez wiele lat. Gęstą ciszą się oprządl, że prawie go nie było widać.

– Więc jak on potem trafił... do Boskiej fabuły?

– Na koniec sznur się opuścił przez dziurę w górze, a Głos z dziury powiedział: „Teodorze, słów żadnych w sobie nie szukaj, bo my już od tego ciągłego gadania wytrzymać nie możemy! Twojej ciszy nam trzeba, bo to rzadki i szlachetny materiał, którego bardzo nam tutaj brakuje!”. Teo do sznura nic swojej ciszy przywiązał i wzięli cichą duszyczkę Teodora, a potem zaraz z radością wstawili między wyrazy.

– A jak on miał na nazwisko?

– Tak samo jak ja – z dumą odpowiedziała stróżka.

Z początku przychodził tylko nocami. Potem odwiedzał mnie również w dzień. Bez uprzedzenia zjawiał się w pracy, kiedy prowadziłam wykłady: mijały godziny, a ja w kompletnej ciszy patrzyłam w oczy swoim studentom – niektórzy do tej pory twierdzą, że dowiedzieli się ode mnie więcej niż od innych wykładowców. Moja popularność rosła. Zwolniono mnie z pracy.

Siedzę teraz w domu. Teodor już mnie nie opuszcza, planujemy ślub. Stróżka weźmie mnie do pomocy. Będę Amalfi.

Spis treści:

<i>Notatka służbowa</i>	
<i>w sprawie zajścia w Ermitażu (na brudno)</i>	/ 7
<i>Nondum</i>	/ 22
<i>Wodomówca</i>	/ 30
<i>Uriel</i>	/ 35
<i>Gumajka</i>	/ 41
<i>Longinus</i>	/ 47
<i>Gumajka i Uriel</i>	/ 52
<i>Viator in fabula</i>	/ 56
<i>Pan Dwadrzewko</i>	/ 66
<i>Mówienie jest nawykiem rąk</i>	/ 91
<i>Psychopomp</i>	/ 96
<i>Siostry</i>	/ 106
<i>Życiorys (Rozpostarta dusza Salomona Finka)</i>	/ 110
<i>Bibliotekarz</i>	/ 123
<i>Odszodek</i>	/ 128
<i>Z życia dusz</i>	/ 136